

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 18 września 1909. Nr. 38.

Fabryka kalek.

(Treść na str. 10).

Nr. 38. „**Nowości Illustrowanych**“ zawiera: **Jubileusz zasłużonego kapłana. — Podróż arcyksięcia balonem. — Walka o biegun północny. — Pouczająca wycieczka. — Ustąpienie zasłużonego pracownika sceny. — Teatr góralski. Lwowianie w Częstochowie. — Dla zdrowia nauczycieli. — Tragedya awiatora itd. itd.**

Katastrofa w Tatrach. :: Sensacyjny romans. :: Z manewrów cesarskich.

Jubileusz zasłużonego kapłana.

Niewielu ludziom bywa danem dożyć w pełni sił duchowych i fizycznych chwili, gdy mogą pochlubić się półwiekową pracą w jakimś zawodzie. Dlatego też stało się powszechnym zwyczajem, że podobna rocznica obchodzona bywa uroczyście, aby w ten sposób uczcić zasługi jubilata i postawić go za wzór, godny do naśladowania. Taką rocznicę, a mianowicie pięćdziesięcioletni jubileusz pracy kapłańskiej, obchodził w ubiegłym tygodniu jeden z najzasłużeńszych a otoczonych powszechną sympatyą kapłanów naszego grodu, ks. prałat Józef Krzemieński, infułat i archibresbiter kościoła N. Maryi Panny.

Czcigodny Jubilat jest dzieckiem Krakowa, gdzie w r. 1835 ujrzał światło dzienne. Wyświęcony 1859 roku, pracował najprzód w mieście rodzinnem, następnie zaś był kolejno proboszczem w Raciborowicach i Morawicy, wreszcie na przedstawienie ś. p. kardynała Dunajewskiego cesarz nadał mu w 1892 roku probostwo przy kościele N. M. Panny, tej największej i tyloma historycznemi wspomnieniami związanej z Krakowem parafii.

Ktokolwiek miał sposobność przypatrzenia się działalności tego zacnego kapłana, czy to w parafiach wiejskich, gdzie poprzednio pracował, czy też w naszem mieście, ten przyzna, że jest ona godną wszelkiego uznania. Ksiądz prałat, jako duszpasterz dbał w ciągu swego długiego żywota przedewszystkiem o dobro swoich owieczek, oraz o utrzymanie w należytym stanie świątyń sobie powierzonych, natomiast stawiał siebie na jaknajdalszym planie.

Nic tedy dziwnego, że cały Kraków, ceniąc cnoty Jubilata i oddając należny hołd jego zasługom, wziął szeroki udział w urządzonej na jego cześć dnia 8 b. m. uroczystości jubileuszowej. Już w wigilię tego dnia przybyły do mieszkania księdza prałata, aby złożyć mu swe gratulacye, liczne deputacye stowarzyszeń krakowskich, a także zjawiło się dużo osób prywatnych. Wśród tych deputacyj znaleźli się także przedstawiciele gminy Bronowic Małych, na leżących, jak wiadomo, do parafii Maryackiej i ofiarowali swemu ukochanemu pasterzowi piękny srebrny pastorał. Tegoż dnia w południe przybył osobiście do Jubilata J. Em. ks. kardynał książę-biskup Puzyna celem złożenia mu życzeń i wręczenia odręcznego pisma Ojca św., którego to pisma podajemy podobiznę. Głęboko wzruszony tym rzadkim nader a zaszczytnym dowodem łaski i pamięci ze strony Głowy chrześcijaństwa, podziękował zań ks. infułat w prostych lecz gorących słowach, zapewniając, że posłuży mu jako zachęta do dalszej gorliwej pracy, jak długo mu sił starczy.



Jubileusz zasłużonego kapłana: Ks. prałat Józef Krzemieński.

Obywatelstwo krakowskie wysłało dnia 8 września wczesnym rankiem swą deputacyę, której imieniem przemawiał p. Redyk i wręczył Jubilatowi drogocenny pierścień. O godzinie 9 ej zaś udała się wspaniała procesya, z ks. biskupem Nowakiem na czele, z kościoła Maryackiego do mieszkania Jubilata. Tam przemówił doń ks. prałat Wądolny i wręczył mu ozdobną infułę, jako dar od duchowieństwa krakowskiego. Następnie procesya powróciła do kościoła, a w niej szedł pod baldachimem Jubilat, prowadzony pod ręce przez ks. biskupa Nowaka i ks. prałata Wądolnego.

W świątyni Maryackiej odbył się ceremoniał liturgiczny, po którym ks. biskup Nowak, włożywszy wieniec mirtowy na głowę Jubilata i dawszy mu do rąk symboliczną laskę, owiniętą zielenią, przemówił od ołtarza. Odpowiedział mu ks. prałat, zaznaczając skromnie, że w całem życiu starał się tylko spełniać swe obowiązki i dziękował serdecznie wszystkim, którzy dali mu dowody życzliwości z okazyi jego jubileuszu kapłańskiego. Podczas uroczystej sumy, którą odprawił Jubilat, wygłosił podniosłe kazanie Dominikanin O. Podlewski.

Skoro nabożeństwo się skończyło, został Jubilat odprowadzony przez procesyę na probostwo, gdzie prezydent miasta dr. Leo w towarzystwie wiceprezydenta p. Sarego, złożył mu życzenia od Rady miejskiej i wręczył szczerozłoty łańcuch.

Po śniadaniu, na którem znalazło się liczne grono zaproszonych, ks. infułat udał się w otoczeniu banderyi do swych ulubionych Bronowic Małych, gdzie probostwo maryackie posiada swój folwark. Tam ustawiono pięknie dekorowane bramy tryumfalne, a naczelnik gminy, p. Młodzianowski, witał ukochanego pasterza. Od dzieci szkolnych przemawiała dziewczynka wiejska i ofiarowała ks. prałatowi bukiet oraz dyplom z artystycznie wykonanym widokiem Wawelu, a p. Włodzimierz Tetmajer ofiarował od siebie i swej rodziny wspaniały obraz Matki Boskiej. Następnie zebrani podejmowani byli gościnnie przez Jubilata, który znów w towarzystwie banderyi, serdecznie żegnany, powrócił do Krakowa. Wieczorem tegoż dnia odbyło się dalsze przyjęcie licznych przyjaciół i wielbicieli Jubilata, których naraz sale probostwa pomieścić nie mogły.

Do życzeń, które z powodu swego pięćdziesięcioletniego jubileuszu kapłaństwa odbiera zewsząd ks. infułat, dołączamy i my nasze życzenia, aby jak najdłużej i przy dobrem zdrowiu pracował na stanowisku, które z takim pożytkiem dla Kościoła i społeczeństwa w naszym grodzie zajmuje. *Ad multos annos!*

Dilecto filio Josepho Krzemienski, Antistiti Urbano, Cracoviae in Ecclesia B. Mariae Virginis Archipresbytero ob sollicitudinem in rebus sacris gerendis optime merito, propediem memoriam Sacerdotii Quinquaginta abhinc annis suscepti in sollemnibus laetitiis recolenti fausta quaeque et salutaria ad multos etiam annos a Domino adprecantes, praecipuae benevolentiae nostrae testem, Apostolicam Benedictionem peramanter impertimus.

Ex aedibus Vaticanis die 30, mense Sextili, anno 1909.

Pius PP. X

Jubileusz zasłużonego kapłana: Własnoręczny list z życzeniami Ojca św. Piusa X-go, wystosowany do ks. infułata Józefa Krzemieńskiego.

Z manewrów cesarskich.

Zakończyła się już „wojna w czasie pokoju“, którą przez dni trzy toczono w okolicach W. Międzyrzecza na Morawie przed oczyma najwyższego wodza armii austryacko-węgierskiej i jego sprzymierzeńca, cesarza Wilhelma. Wojska powróciły już do swych kwater, opustoszały ulice cichego miasteczka morawskiego, gdzie w ciągu trzech dni mieli swą rezydencyę obaj monarchowie i gdzie mieściło się główne kierownictwo manewrów, spoczywające w ręku arcyks. Franciszka Ferdynanda, dzienniki zaś dopiero teraz zaczynają podawać wrażenia swych sprawozdawców i umieszczać krytyczne uwagi o ostatnich manewrach cesarskich.

Ze sprawozdań tych i uwag wynika przedewszystkiem, że manewry ostatniej doby, podczas których czynniki kierujące starają się zbliżyć, o ile tylko można, do warunków nowożytnej wojny, wcale są nie-



Z manewrów cesarskich: Arcyksiążę Eugeniusz (X), dowódca armii północnej, wita się z generałem piechoty Conradem von Hötzendorf, szefem generalnego sztabu.

wojnę jak najwięcej morderczą, lecz odjąć jej wszelkie cechy parady, która, bądź jak bądź, wpływała podniecająco na nerwy żołnierza. Obecnie ludzie zamierzają się mordować pocichu, bez muzyki, zgiełku i wrzawy, które towarzyszyły dawniejszym bitwom.

Dopiero co ukończone manewry cesarskie, z których podajemy szereg zdjęć interesujących, były jednemi z największych, jakie się dotąd odbyły w Austro-Węgrzech. Ile kosztowały one — to wie zapewne tylko ministeryum wojny. Pragnąć jednak należy, aby te kolosalne sumy pieniędzy, które one pochłonęły, nie poszły na marne, tj. aby z ostatnich manewrów kierujące sfery wojskowe wyciągnęły przynajmniej odpowiednią naukę i oceniły należycie zdolności tych dowódców, dla których te manewry były decydującym egzaminem. Pod tym względem świeżo odbyte manewry pełne były pouczających momentów, jak np. rozbicie w puch wiedeńskiej kawaleryi dywizyi, lub marsz 70 kilometrów, wykonany w czasie jednej doby przez XXV-tą dywizyę piechoty. Takie *intermezza* mogą się przydarzyć na manewrach, nie pociągając za sobą poważniejszych następstw dla odpowiedzialnych dowódców, których jednak podczas prawdziwej wojny niezawodnie czekałby sąd wojenny.

Zagraniczni oficerowie, którzy byli obecni na ostatnich manewrach cesarskich, jednogłośnie wyrażają podziw dla wytrzymałości i sprawności naszych żołnierzy wszystkich rodzajów broni. Zato działalność wyższych dowódców wcale im nie zaimponowała i słusznie. Zbyt często, między innemi, wido-

podobne do manewrów dawniejszych. Zniknęło teraz z placu boju wszystko, co było obliczone na efekt, a natomiast wzięła górę strona praktyczna. Zaś samo nowe jednostajne umundurowanie armii austryackiej, ubranej w szaro-sine mundury, sprawia, że oddziały wojsk giną dla oka w terenie na pewną odległość. Dalej wszystkie rodzaje broni szukają zakryć, tak że nigdzie prawie nie spostrzega się większych mas piechoty, kawaleryi lub artyleryi. Proch zaś mało dymny sprawia, że zaledwie i to przez dobre szkła można spostrzedz malutkie obłoczki dymu, unoszące się przed strzelającą piechotą. Nawet przy strzałach armatnich dym jest bardzo niewielki, tak że po huku jedynie daje się rozpoznać, gdzie jest ukryta artylerya, a gdzie karabiny maszynowe, przed dwoma laty jesze nieużywane w polu.

Nad polem bitwy wznoszą się dziś balony na uwięzi, tu i owdzie sterczą wysokie żelazne maszty do przesyłki i odbierania depesz telegraficznych bez drutu, jedne samochody i motocykle, jak błyskawice, przenoszą w rozmaitych kierunkach rozkazy, w tyle zaś linii bojowej samochody ciężarowe z powodzeniem zastępują miejsce dawnych podwód, kuchnie na wozach przygotowują gorącą strawę i dowożą ją nawet do linii bojowej, sygnałów dawanych trąbką lub bębnem, prawie się nie słyszy, nocami reflektory oświecają przeraźliwym blaskiem dalekie przestrzenie, wszędzie widzi się druty polowego telegrafu i telefonu, jednem słowem, obraz wojny *modern* jest wcale inny, niż dawniej. Dziś wszelkie usiłowania skierowane są do tego, aby wyzyskać postępy techniki i uczynić



Z manewrów cesarskich: Obóz obrony krajowej pod Trnawą.



Z manewrów cesarskich: Przewoźny reflektor.



Sensacyjny romans: Konstancya Bednarzewska.

czna była u nich nerwowość, a to kardynalny błąd każdego, komu powierzonem zostaje w danym razie życie tysięcy ludzi, a od którego zimnej krwi i postanowienia zależy pomyślny wynik walki lub groźna w skutkach przegrana.



Sensacyjny romans: Hubert Brzozowski.

Pouczająca wycieczka.

Staraniem gal. towarzystwa mleczarskiego, odbyła się w pierwszej połowie września trzecia w tym roku wycieczka rolniczo naukowa, tym razem do Królestwa Polskiego.

Wycieczkę stanowiło nieliczne grono uczestników, wśród których było kilku obywateli ziemskich, poseł Bomba, ponadto zaś kilku funkcyonaryuszów rozmaitych korporacyj rolniczych. Wycieczka wyruszyła z Krakowa, kierując się naprzód do Sosnowca. W Granicy powitali wycieczkę pp. W. Kraiński, dyrektor filii Tow. Ziemskiego warszawskiego i Kunert, z warszawskiego tow. mleczarskiego.



Z manerów cesarskich: Cesarz Franciszek Józef w towarzystwie cesarza Wilhelma na polu manewrów.

Następny etap wycieczki stanowiła Częstochowa, gdzie wycieczkowcy zatrzymali się przez dwa dni, celem zaznajomienia się z zabytkami i pamiątkami Jasnej Góry, oraz piękną wystawą przemysłowo-rolniczą. Przyjęciem wycieczki zajęli się pp. Kraińscy, Ławiccy i Spittalowie, starając się bardzo gorąco o uprzyjemnienie im pobytu w Częstochowie.

Ostatnim punktem podróży była Warszawa i jej okolica. W Warszawie zwiedzili uczestnicy wycieczki naprzód parową mleczarnię, następnego dnia zaś cały szereg zakładów przemysłowo-rolniczych, nadto zaś samo miasto i jego osobliwości. Zwiedzono również Wilanów, poczem nastąpił powrót do Galicyi.

Lwowiacy w Częstochowie.

Liga pomocy przemysłowej, chcąc naprawić niejako błąd, popełniony przez wstrzymanie się od udziału czynnego w wystawie częstochowskiej, urządziła wycieczkę na tę wystawę, z udziałem szerszych kół publiczności, zwłaszcza ze sfer przemysłowych.

Wycieczka udała się doskonale, a liczba uczestników świadczyła o dużem zainteresowaniu się piękną wystawą.

Ze Lwowa ruszono w piątek popołudniu, a następnego dnia przybyto do uroczej Częstochowy. Wrażenie, jakie uczestnicy wycieczki odnieśli już na sam widok świętego miejsca, tak drogiego sercu każdego Polaka, było potężne. Bardzo duże wrażenie, choć innego rodzaju, wywarła też na gościach ze Lwowa sama wystawa, przechodząca bogactwem nagromadzonych na niej przedmiotów najśmielsze nawet oczekiwania. Tem bardziej też żałowano, że udział Galicyi w tej wystawie jest tak znikomo, tak skandalicznie mały.

Fot. M. Münz, Lwów.

Lwowianie w Częstochowie: Uczestnicy wycieczki „Ligi pomocy przemysłowej“ do Częstochowy, zebrani na dworcu we Lwowie.

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X. 323

3 (Ciąg dalszy).

Przygłuszają ich okrzyki: *agua gnieri* przekupniów wody, którzy snują się po placu, nosząc w jednej ręce dzbanki z tym ulubionym trunkiem Madrytczyków, a w drugiej trzymając tacę z wielkiemi szklankami. Opodal stoją posłańcy lub tragarze, opasani grubymi sznurami, a z boku grupują się torreadorzy i prowadzą zacięte dysputy o wartości swoich papierosów, przerywając je tylko bardzo niewybrednymi komplementami, jakimi witają swe piękności.

W Madrycie ludność wyraża swe uczucia i chęci z wielką niewstrzemięźliwością. Jest to jedyna niewstrzemięźliwość tego bardzo wstrzemięźliwego narodu. Ja jednak wolę, przyznam się, dobrego pijaka, śpiącego spokojnie pod beczką, niż tych niepijących ludzi.

Wybiło południe. Wróciłem na śniadanie, poczem zwiedziłem Armeria czyli muzeum broni, następnie galeryę obrazów i wreszcie zacząłem na nowo przechadzkę, ale już na nowem miejscu, *Salon del Prado*, gdzie zbiera się lepsze madryckie towarzystwo.

Pod wieczór dają sobie spotkania w licznie znajdujących się tutaj cukierniach, wszyscy miejscowi eleganci i elegantki. Tu się odbywa flirt madrycki, który tem się odróżnia od innych, iż nie okrywa się wcale tajemniczością. Damy przyzwyczajone są do tej szczerości i swobody, nie krępują się też zupełnie. Rzucają szalone spojrzenia bez żenady i kołyszą silnie biodrami, co jest uważane za szczyt dobrego tonu, wdzięku i elegancyi. Ja jestem Anglikiem, zupełnie więc naturalnem jest, że nie mogę zrozumieć tego flirtu tak, jak Hiszpan.

Jakby to nie było, snułem się jednak w tym rozbawionym tłumie, który stanowił dla mnie niewidziane dotychczas widowisko. Jak wszyscy inni, przeszedłem wzdłuż cały *Salon*, potem znowu zacząłem tę samą przechadzkę.

Nagle jedna osoba zwróciła moją uwagę. Był to starzec, jeżeli sądzić go po siwej, zgrabnie przystrzyżonej brodzie, lecz starzec jeszcze czerstwy i zdolny, o ile mi się zdało, rywalizować z niejednym młodzieńcem. Był on wzrostu więcej niż średniego, szczupły, o żywych, nerwowych ruchach. Wyraz twarzy, lekki chód, sposób trzymania głowy wskazywały, że lata przeszły nad nim, nie przynosząc wielkiego uszczerbku jego sile. Staranne, eleganckie ubranie wskazywało na człowieka zamożnego, dobrze wychowanego, lecz cudzoziemca, który często musi bawić w Paryżu. Nie zauważyłem w nim żadnej wady gustu, która stanowią to, co nazywamy powszechnie miejscowym gustem jakiegoś narodu. Jedyny Paryż, jako stolica całego świata, zdołał szczęśliwie uniknąć tego, nawzajem moja stolica, Londyn, jest jakby zarażona specyalnym smakiem angielskim.

Dlaczego jednak zajmuję się tym człowiekiem? Poprostu dlatego, iż odniosłem wrażenie, że i on przygląda mi się bacznie. Nie mogłem nawet wątpić, iż to o mnie chodzi, gdyż za każdym razem przy wymijaniu, obrzucał mnie przenikliwem spojrzeniem. Czynił to nadzwyczaj dyskretnie, zręcznie, lecz gdy tylko sądził, że go nie widzę, oczy jego spoczywały na mnie.

Przy pierwszem spotkaniu, zwróciłem tylko mimowolną uwagę na ciekawą postać tego przechodnia. Przy trzeciem jednak, ten ciążący na mnie wzrok zaczął mnie irytować. Przy czwartem zmarszczyłem brwi... przy piątem starzec nie spojrzał w moją stronę, lecz uczułem, że po wyminięciu znowu ogarnął mnie swemi oczami.

Obróciłem się szybko i nie omyliłem się. Starzec zwrócony głową ku swemu ramieniu, obserwował mnie. Widząc się dostrzeżonym, cofnął się szybko i poszedł naprzód swoją drogą.

Byłem teraz już zupełnie pewnym i postanowiłem przy nowem wymijaniu się zaczepić go i zapytać, czy przypadkiem z braku pamięci nie popełniam niegrzeczności, nie poznając w nim osoby, której byłem dawniej przedstawiony. Ten sposób zaczęcia rozmowy wydał mi się zupełnie naturalnym i taktownym, lecz już napróżno przebiegałem *Salon del Prado*, starca nigdzie nie było.

Rozgniewało mnie to jeszcze bardziej. Jegomość ten chce mnie więc śledzić ukradkiem. Odkryty przezemnie, schował się, unikając w ten sposób tłomaczenia, którego prawdopodobnie domyślał się.

Nie był to więc nikt ze znajomych. Kimże w takim razie on był? I znowu w umyśle moim powstało zapytanie, na które nie mogłem sobie dać odpowiedzi.

Słowo honoru! wszyscy sprzysięgli się, by mnie intrygować. Mówię wszyscy, ponieważ zaledwie uwolniłem się od podstępnego starca, olśnił mnie zaraz blask oczu kobiecych.

Kobieta, raczej młoda bogini o zdumiewającej, prawie nieprawdopodobnej piękności, rozlewająca dokoła uroczy czar, zajaśniała przedemną. Włosy jej kruczo czarne, były jakby poprzetykane złotemi nitkami, rzucającemi błyski, a tak zlewały się z całym jej wyrazem, iż nie można było przypuścić, że tam sztuka działała. Natura tylko mogła ozdobić ją taką krasą. Oczy jej, spoglądające ku mnie, rzucały promienie iskier niebiesko-zielonych, które zdawały się, iż przenikają moje powieki.

Nieznajoma przeszła. Obróciłem się instynktownie, by ją jeszcze ujrzeć i teraz, gdy oczy jej nie lśniły przedemną, rażąc mój wzrok, mogłem zdać sobie sprawę z jej wdzięku, z jej wytwornej postaci i zgrabnych, giętkich ruchów. Doznawałem szczególnego wzruszenia, nie było ono jednak takie, bym mógł się, jako prawdziwy gentlemen, zarumienić od niego.

Dama ta, czy też panna, gdyż młodość jej usprawiedliwiała to przypuszczenie, wydawała mi się bosko piękną i czarowną; lecz ona była... boską i mój podziw miał w sobie coś z tego wzruszenia, jakiego doznaje się wobec zachwycających posążków Tanagry.

Moje uwielbienie powstało we mnie nie jako w mężczyźnie, lecz tylko jako w artyście. Wykuta w marmurze lub wycyzelowana w bronzie moja „Tanagra“ z Prado, wzbudziłaby we mnie to samo podniecenie.

I zaczęła się nowa gra spotkań, jaka poprzednio odbywała się z tajemniczym starcem. Znajdowałem tylko w tem więcej przyjemności, gdyż ta młoda kobieta przedstawiała istotnie zachwycający obraz.

Kilka razy wymijałem ją, zachwycony harmonią jej ruchów. Nie była z pewnością paryżanką. Jej blada twarz, pod którą jednak tętniła bujna i czysta krew, przypominała postacie z czarodziejskich baśni. Wyobrażała sobą te legendowe księżniczki, których przejścia stanowiły urok opowiadanych nam w dzieciństwie historyj, te księżniczki różanych marzeń, w których młode dusze kochają się tak długo, póki nie poznają prawdziwej miłości, księżniczki, których żałuje się później w życiu i które pozostają na zawsze niedoścignionym ideałem pierwszych niewinnych uczuć.

Nie myślałem nawet, czy ją kiedykolwiek już widziałem. Daremnem byłoby to przypominanie sobie. Po raz pierwszy dopiero zaświtała teraz przedemną jak jutrzenka. Cóż w takim razie mają oznaczać jej spojrzenia? Pytanie to owładnęło zupełnie mym mózgiem. Trzeba było przekonać się. Była o dwadzieścia kroków odemnie, stojąc przy tramwaju. Zwróciłem się ku niej w chwili, gdy tramwaj ruszał... lecz stało się to, czegobym nigdy nie przypuszczał. „Tanagra“, której strój wskazywał na osobę, przyzwyczajoną do wykwintnych ekwipaży i samochodów, wskoczyła zgrabnie na stopień elektrycznego wozu.

To niespodziane zakończenie, przybiło mnie zdziwionego jakby do miejsca, na którem stałem.

Zdumienie jednak moje jeszcze bardziej wzrosło. Podczas gdy tramwaj oddalał się szybko, nieznajoma patrzyła na mnie, a dostrzegając mój zawód, sprawiony jej nagłym odjazdem, uśmiechnęła się lekko i uczyniła mały ruch głową, który przyjąłem za ironiczne pożegnanie. Na próżno chciałem się zainteresować tłumami na Prado. Ten spacer madrycki stracił już dla mnie cały urok. Moja chęć przyglądania się i mój dobry humor odjechały tramwajem razem z „Tangerą“.

Zaczęto zapalać latarnie. Miałem jeszcze godzinę do obiadu. By zająć się czem, poszedłem szukać Casa Avreda, ku której zdążały me myśli od samego rana. Nie przypuszczałem nawet, idąc wzdłuż murów i fasad na ulicy San Geronino i na ciasnej uliczce Zorilla, że jeszcze tyle razy tam powrócę i że tam niestety pozostawię swe serce.

Wreszcie wybiła siódma godzina i wróciłem do hotelu, zmęczony temi przejściami z nieznajomym starcem i Tanagrą i zdenerwowany oczekiwaniem. Dotychczas skarżyłem się na niejasność tej awantury, w którą rzucony zostałem na los szczęścia.... Teraz nadchodził dla mnie czas poznania wszystkiego i nowych żalów, ale już z innego powodu.

III.

WYJAŚNIENIE PRZYJAZDU DO MADRYTU.

O godzinie dziewiątej wieczorem włożyłem na się frak i zeszedłem do hali hotelu de la Pax. Przed podjazdem oczekiwała już na mnie kareta, która mnie miała zawieść na przyjęcie do hrabiego Nolsbein-Litzberga. Tam spotkam się wreszcie z sir Lewis Markhamem, tym attache wojskowym ambasady angielskiej, który dowiódł mi swym listem, jak bardzo jest przesiąknięty ostrożnościami dyplomatycznemi.

Przestrzeń między hotelem, a pałacem Cassa Avreda nie wynosiła pięciuset metrów... w Paryżu lub Londynie przeszedłbym tę drogę pieszo tak z upodobania, jak i dla hygieny. W tem jednak mieście, gdzie najskromniejszy mieszczanin uważałby sobie za ujmę, gdyby swej ważnej osoby nie zawiózł jakimkolwiek ekwipażem, nie wypadało, by przedstawiciel *Timesa* zjawiał się, jak jaki biedak, na własnych nogach. Mój *coche*, jednem słowem, mniej był potrzebny dla mnie, niż dla podtrzymania powagi Anglii.

Siadłem wyprostowany z wielką powagą, jak jaka dostojna osoba i niedbałym tonem, udając co najmniej głównego dyrektora *Timesa*, rzuciłem stangretowi adres: *Casa Avreda, calle San Geronimo*.

I pogrążyłem się w myślach, w których mięszali się razem Lewis Markham, Casablanca, „Wielki Jerzy“, cesarz niemiecki, a przyznać trzeba, że zajmowała w nich ważne miejsce i tajemnicza postać Tanagry. Trwało to zaledwie cztery minuty, gdyż po upływie tego czasu znalazłem się już przed monumentalną bramą Casa Avreda.

Niezliczony tłum żebraków w łachmanach, muzykantów z gitarami pod pachą, posłańców, tragarzy, przekupniów i różnorodnych próżniaków ulicznych kłębił się na carrera San Geronimo. Kłócili się, popychali pomiędzy pojazdami, dyskutując zawzięcie nad pięknością, elegancyą, bogactwem i pochodzeniem gości, zjawiających się przed pałacem hrabiego Holsteina.

Po przejściu przez trotuar między dwoma rzędami ciekawych, znalazłem się w obszernym westibulu, oświeconym wielkimi świecznikami z bronzu i srebra, króre wskazywały, iż chęć przepychu była silniej rozwinięta u dekoratorów tego pałacu, niż smak artystyczny. Szwajcarzy w czerwono złotej liberyi, z halabardami w rękach i przy szpadach, pełnili honorową straż na schodach marmurowych, wiodących do salonów. Casa Avreda jest byłym gmachem zakonnym, którego sypialnia, korytarze, sale zachowały oryginalny charakter klasztorów, zmieszany z urządzeniami wielkopańskiej rezydencyi.

Znalazłem się więc wreszcie w tym domu, by spotkać się z sir Lewis Markhamem, który nie tylko przedstawiłby mnie gospodarzowi, hrabiemu Holsbeinowi, ale dał i wyjaśnienia sprawy, dla której tu przybyłem. Zniecierpliwiony już byłem tem kręceniem po Madrycie, które przypominało mi trzepotanie się muchy w butelce. Tego wieczora muszę już być poinformowany o nieznanych powodach, które skłoniły redakcyę *Timesa* do wysłania mnie do Hiszpanii.

Sapristi! Winienem wysyłać do *Timesa* sensacyjne depesze, a nie wiem nawet, o co w gruncie rzeczy chodzi. Każdy, kto tylko zajmował się reporterską, małą lub wielką, łatwo pojmie moje zdenerwowanie. Dowiadywałem się, lecz Lewis Markham jeszcze nie przybył. Czem się zająć tymczasem? Zacząłem rozglądać się w mieszkaniu, w którem może będę miał co do działania; przechodząc przez otwarte dla zaproszonych salony, poznawałem w ten sposób i rozległość pałacu, któremu popołudniu przyglądałem się z zewnętrznej strony. Dokładne zbadanie miejsca jest to zabezpieczenie sobie powodzenia w przedsięwzięciu. Te najdrobniejsze szczegóły, zdobyte w obserwacyi, przyczyniają się w znacznej mierze do przezwyciężenia wszelkich przeszkód. Ileż to rozmaitych misyj udało mi się tylko dlatego, iż gdy jedne drzwi zamykały się przed mą ciekawością dziennikarską, wiedziałem, gdzie znajdują się drugie, by dostać się na konieczne miejsce.

Jak już poprzednio stwierdziłem, mury Casa Avreda ciągną się na dość znacznej przestrzeni i składają się z budynków poklasztornych. Front pałacu wychodzi na ulicę San Geronimo, tyły zaś, otoczone dość znacznym ogrodem, zwrócone są na ulicę Zorilla, biegnącą prostopadle z San Geronimo. Z terasy ogrodowej, na którą prowadzi wejście z głównego salonu przez wielkie oszklone drzwi, widać mały polichromiczny kiosk, z frontem na ulicę Zorilla. Budynek ten, jak i ukryte drzwiczki w murze ogrodu, zwróciły moją uwagę w czasie mych dziennych oględzin. Teraz jednak, po szybkiem przebieżeniu salonów, w których snuli się liczni goście, stwierdziłem, iż stanowią one tylko bardzo drobną część całego gmachu. Strona zaś przeznaczona dla stałych mieszkańców pałacu, musiała być bardzo obszerną. Przypuszczałem to tylko, gdyż nie mogłem zapuścić się do prywatnych apartamentów.

Po zdaniu sobie sprawy z tych drobnych szczegółów, które jednak miały następnie dla mnie ważne znaczenie, poprosiłem jednego z obecnych, spacerującego jak i ja samotnie, by był łaskaw wska-

zać mi gospodarza domu, hrabiego Holsbeina-Litzberga.

Podprowadził on mnie do grupy osób, wśród których hrabia rozmawiał z ożywieniem.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, lecz doskonałej budowy ciała, o szerokiem czole, ocienionem blond włosami i starannie utrzymaną brodą rudawego koloru. Zauważyłem, że rysy jego twarzy drgały chwilami kurczowo, brwi się marszczyły mimowolnie, a w całej postaci znać było jakiś wysiłek. Wywarł on na mnie wrażenie człowieka, dotkniętego pierwszymi atakami neurastenii. Wkrótce przekonałem się, że on miał inne powody do wzruszenia, które starał się mężnie pohamować. Przypatrując mu się z pewną natarczywością, którą potem skłonny byłem uważać za pewnego rodzaju przeczucie, nie traciłem jednak z uwagi głównego wejścia.

Nagle przestałem się zajmować hrabią Holsbeinem. Na progu pierwszego salonu dojrzałem mundur, na widok którego żywiej zabiło mi serce. Ukazał się tam sztabowy oficer naszej armii, wysoki, szczupły, blondyn, prawie w moim wieku, i posuwał się naprzód z tą dostojną miną i elegancyą, jaką napróżno starają się naśladować oficerowie innych narodów.

Uniformy angielskie rzadko spotyka się w Madrycie. Bez wahania też powiedziałem sobie, że ten kapitan jest oczekiwanym przezemnie sir Lewis Markhamem.

Natychmiast skierowałem się do niego i kłaniając się uprzejmie, rzekłem:

— Zapewne sir Lewis Markham? jestem Maks Trelam.

Prezentacya ta wywołała natychmiastowy skutek. Twarz kapitana zajaśniała uśmiechem, schwycił mnie serdecznie za ręce i uścisnął je, wymawiając słowa mnie dziwne, jak i niespodziewane.

— Maks Trelam... Ach, mój drogi kolego, co za szczęśliwy traf, że się spotykamy. Serce moje o tobie nigdy nie zapomniało. Nie zapomina się tak łatwo kolegów uniwersyteckich z Oxfordu.

Mogę zapewnić, że potrafię zoryentować się w mowach bez związku, w tym jednak wypadku zabrakło mi wprost głosu. Ten niespodziany kolega z Oxfordu pogrążył mnie w zdumienie, tem więcej usprawiedliwione, iż nauki swe odbywałem w uniwersytecie w Cambridge.

Jeszcze się namyślałem nad stosowną i w tym samym tonie utrzymaną odpowiedzią, gdy sir Lewis wziął mnie po przyjacielsku pod rękę i pociągnął za sobą.

— Chodźmy powitać hrabiego Holsbeina... Potem porozmawiamy o starych dziejach. Musimy sobie przypomnieć nasze dawne kłopoty i radości uniwersyteckie.

Dałem mu się prowadzić. Złożyliśmy swe uszanowanie hrabiemu, który odpowiedział nam z widoczną dystrakcyą, chociaż, jak wydało mi się, wzrok jego spoczął na mym towarzyszu z dziwnym wyrazem zapytania i nienawiści.

Po dokonaniu tej towarzyskiej grzeczności, kapitan skierował się wraz ze mną ku oknu, które wychodziło na terasę ogrodową, wysokości mniej więcej dwóch metrów. Idąc, mówił on coś ciągle, przypominając mi wspomnienia oxfordzkie, których nie mogłem wynieść przecież z Cambridge.

— W zeszłym roku spotkałem się z Holserem, pamiętasz przecież Holsera, naszego kapitana footballu, tego wielkiego kolosa, silnego jak byk... Nigdy on nie brał udziału w naszych eskapadach, poświęcając swój wolny czas siostrze swej, Kate... Kate! Nie bardzo uprzejmi byliśmy dla tego brzydala...

W miarę jednak, jak te przypomnienia następowały po sobie, sir Lewis Markham nieuchwytnie zniżał stopniowo swój głos, tak iż dochodząc do terasy, mówił zaledwie szeptem.

Listopadowy ten wieczór swoją pogodnością dawał złudzenia wiosny. Madryt, miasto chłodne z powodu swego wysokiego poziomu i ostrych wiatrów, zdumiewa nieraz swych mieszkańców łagodnością temperatury. Kilka par, zmęczonych zapewne dusznością salonów, błądziło jak i my w tym zakątku, oddychając świeżem powietrzem, zanim znowu zmieszają się z tłumem gości hrabiego.

Kapitan poprowadził mnie w róg, szybkiem spojrzeniem upewnił się, czy nie znajduje się kto w pobliżu nas, a potem zaczął mówić lekkim, przyciszonym głosem:

— Musimy udawać teraz kolegów uniwersyteckich. Rozmowa nasza będzie w ten sposób zupełnie naturalna. Jesteśmy weseli, ciesząc się z naszego spotkania. Gdy dotknę się pańskiego ramienia, proszę śmiać się ostentacyjnie.

Potaknąłem głową, przyzwyczaiwszy się już do tego dziwnego położenia, iż muszę uważać za swego kolegę oficera, którego widzę dopiero po raz pierwszy. Bał się szpiegostwa i ta obawa tłomaczyła wszystko. Mówił jednak dalej:

— Od samego początku muszę wyznać panu szczerze, iż wszystko, co się dzieje w tej chwili, jest zupełnie wbrew mym chęciom. Opierałem się jak tylko mogłem, lecz redakcya *Timesa* jest potężną; zgodziła się jednak na zastrzeżenie, że do tej pory nie wydrukuje nic z tego, co się pan dowie, dopóki nie otrzyma pan upoważnienia, czy to odemnie, czy też innej osoby, o której panu zaraz wspomnę. Musiałem więc ustąpić.

— Bardzo jestem zobowiązany — odezwałem się, urażony trochę słowami mego przewodnika.

— Niema do czego zobowiązywać się... Dzisiaj wieczorem dowie się pan rzeczy, które przekonają pana o słuszności mych myśli. Im mniej ludzi wie o tem, tem lepiej jest dla pokoju Europy.

Potem dodał, zmieniając nagle ton.

— Zresztą porzućmy to. Działam z rozkazu. Pan również. Obydwaj jesteśmy gentlemanami, zasługującymi na szacunek... Bądźmy posłuszni naszym instrukcyom, nie doszukując się niczego więcej. Polecono mi także poinformować pana, dlaczego został pan wysłany do Hiszpanii, kiedy dokument skradziony w Londynie, jest przeznaczony dla Berlina.

— Istotnie, zawołałem, to najbardziej mnie interesuje...

Przerwał zaraz:

— Ciszej tylko... proszę śmiać się...

W jednym rzucie oka dostrzegłem, iż dwie jakieś osoby oparły się o kilka kroków od nas o balkon, natychmiast też roześmiałem się głośno, zdobywając uznanie kapitana.

— Bardzo dobrze, może już pan pozbyć się wesołości.

Obie niepokojące nas osoby oddaliły się. Była to jakaś czuła para, zajęta więcej flirtem niż polityką.

— A więc, mówił znowu sir Markham, jakby prowadził dalej zaczętą rozmowę, szpieg, który okradł lorda Downingby, sądził, iż jego włamanie odkryje się dopiero na drugi dzień rano. Ten przeciąg czasu pozwoliłby mu na dostanie się okrętem na terytoryum niemieckie.

— Lecz kimże jest ten człowiek?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Niech pan pyta się mnie tylko o to, co sam wiem... Jak i pan, jestem tylko maryonetką w tej tragedyi, która może zalać krwią całą Europę. Proszę jednak nie przerywać mi, gdyż czas jest drogi.

I znowu ciągnął cicho dalej:

— Natychmiastowe odkrycie kradzieży zburzyło plan włamywacza; znalazł on wyjścia pilnowane i tak bacznie strzeżone, iż mógł wyjechać dopiero na drugi dzień rano i w dodatku do Francyi. Gdy ma się przy sobie podobny skarb, staje się człowiek trwożliwym. Z pewnych powziętych ostrożności człowiek ten, który, zdaje się, jest wybitnym szpiegiem, poznał, iż wisi już nad nim wyciągnięta ręka, gotowa każdej chwili do schwytania go. Toż samo sądził i jego rząd, gdyż polecił mu w umówiony sposób zredagowaną depeszą udać się do Madrytu.

— Po co?

Ścisnął mnie silnie za ramię i szepnął:

— Proszę się śmiać!

Dwóch panów, przechadzając się, podchodziło ku nam. Nie zwrócili jednak na nas żadnej uwagi i cofnęli się, zanim mój śmiech ustał na rozkaz.

— Zdaje mi się — nie przerywał swej mowy kapitan — iż za tym szpiegiem wysłano pewną osobistość, szczególnie niebezpieczną dla takich zawodowców. Przytem w Madrycie bawi od ośmiu dni pan von Koeleritz, sekretarz kanclerza niemieckiego, jako nadzwyczajny poseł do zawarcia z ministeryum hiszpańskiem nowego traktatu handlowego. Złodziej winien skradziony dokument wręczyć właśnie temu urzędnikowi, który odwiezie go do Berlina. Urządzono to dla wprowadzenia w błąd pogoni. Nazywa się to technicznie skrzyżowaniem śladów.

— A ten nadzwyczajny poseł zgodzi się na tę wstrętną rolę? — zawołałem cały oburzony.

— Widocznie, ponieważ powtarzam dosłownie to, co mi polecono zakomunikować panu. Kończę już jednak swe informacye, mam bowiem jeszcze tylko rozkaz dla pana...

— Dla mnie?

— Tak; oto on: słuchać bez żądania wyjaśnień tego, kto dzisiaj wieczorem zawezwie pańskiej pomocy, powołując się na liczbę 323.

— 323! zawołałem, uderzając się w czoło.

— Lecz to jest liczba, na którą zamykała się kasa ogniotrwała lorda Downingby!

Kapitan odrzekł mi flegmatycznie:

— Bardzo możliwe. A teraz wybaczy pan, że wrócimy. Mój ambasador ma przybyć na ten wieczór, muszę więc być przy jego osobie.

Wsunął znowu rękę pod me ramię i poprowadził mnie do salonu, na progu jednak zatrzymał się, mówiąc:

— Ach! senorita pozwoli, że przedstawię swego przyjaciela — na słowie tem położył specyalny nacisk, który wydał mi się umówionym zawczasu znakiem — ...Przyjaciel mój, Maks Trelam, korespondent *Timesa*.

Osobą tą był nie kto inny, lecz nieznajoma z Prado, cudowna Tanagra.

— La marchiesa d'Almaceda — rzekł Markham, wskazując damę.

Potem zwrócił się znowu do niej.

— Przyjaciel mój jest cudzoziemcem, bardzo osamotnionym w tem zebraniu. Czy mogę go polecić pani?

— Rekomendacya kapitana Markhama jest najpewniejszą rękojmią — rzekła dźwięcznym głosem...

Ciąg dalszy nastąpi.



Na progu pierwszego salonu dojrzałem mundur na widok którego żywiej zabiło mi serce.

Walka o biegun północny.

Dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności udało się — przynajmniej, jak sami twierdzą — dwom Amerykanom dokonać równocześnie odkrycia, o które próżno kusili się przez lat tyle podróżnicy rozmaitych narodowości. Nazwiska Fryderyka Cook'a i Roberta Peary'ego są na ustach wszystkich a cały świat cywilizowany zaprzątnięty jest nierozstrzygniętą do tej chwili kwestyą, któremu z nich udało się rzeczywiście dotrzeć do bieguna północnego. Uczeni na obu półkulach podzielili się na zwolenników jednego lub drugiego podróżnika, pomiędzy którymi spór o pierwszeństwo przybrał cechy namiętnej osobistej walki.

Rzecz prosta, że do czasu, gdy ludzie do tego powołani rozstrzygną na korzyść Peary'ego lub Cook'a, ogół powinien wstrzymać się z wydawaniem sądów w przedmiocie ich sporu i to tem więcej, że stosunkowo niewielka tylko liczba uczonych specyalistów może tu głos zabierać.

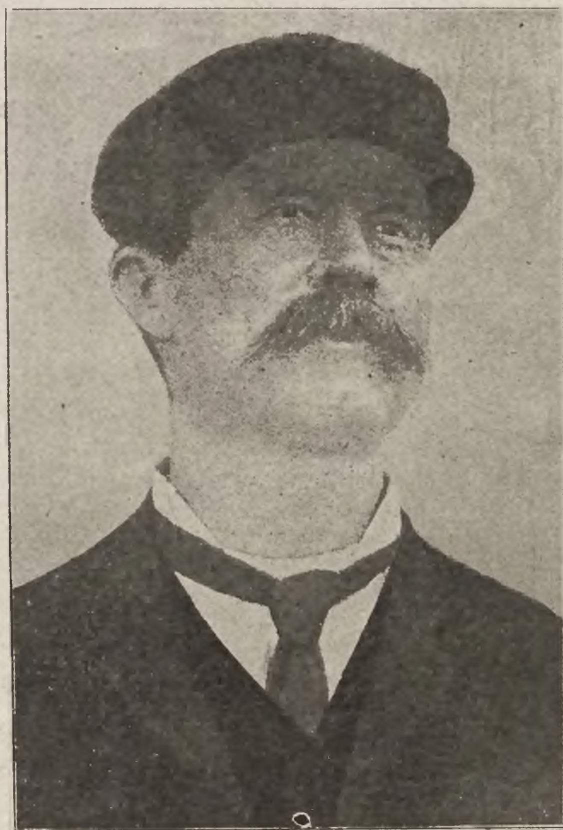
Opinia publiczna w Danii, oraz część opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych stoi po stronie Cook'a. Za Peary'm zaś oświadczają się uczeni Anglicy, oraz druga połowa opinii amerykańskiej.

W każdym razie zaznaczyć trzeba poprawne zachowanie się Cook'a po otrzymaniu wiadomości o dotarciu przez Peary'ego do bieguna. Nie zarzucił on swemu współzawodnikowi kłamstwa, owszem wyraził radość z powodu, że i drugiemu Amerykaninowi udało się zatknąć gwiaździstą banderę na okrytym dotąd tajemnicą punkcie naszego planety. Peary postępuje sobie przeciwnie. Twierdzi on kategorycznie, że Cook wcale nie dotarł do bieguna i że wszystkie jego opowiadania są nieprawdziwe.

Załączone do niniejszego artykuliku ryciny przedstawiają obu dziś tak głośnych podróżników. Spodziewać się należy, że już w najbliższej przyszłości zostanie ostatecznie rozstrzygniętem przyznanie jednemu z nich palmy zwycięstwa w tym turnieju pokojowym, którego wynik posiada, bądź jak bądź, wielką doniosłość naukową.



Walka o biegun północny: Dr. Cook (pierwszy z lewej strony), witany w przystani w Kopenhadze; po prawej stronie duński następca tronu ks. Chrystyan.



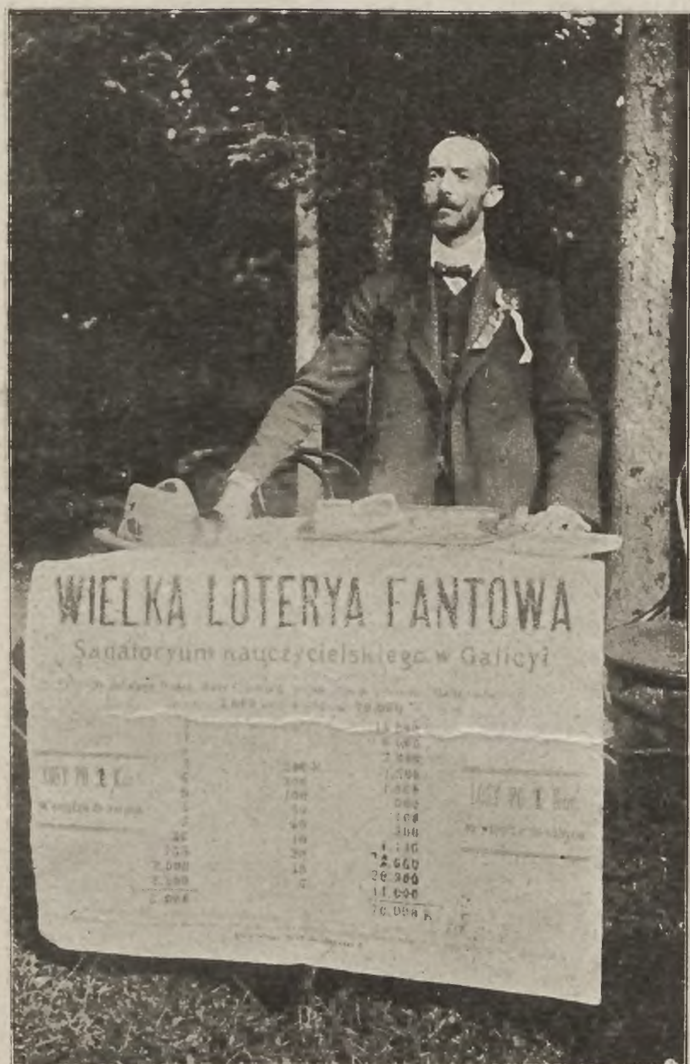
Walka o biegun północny: Robert Peary.

Dla zdrowia nauczycieli.

Podwójna praca czeka społeczeństwo nasze na najważniejszem prawie polu społecznej działalności, na polu oświaty — wyrównanie istniejących braków i postawienie całego aparatu oświatowego na wyżynie, odpowiadającej zapotrzebowaniu kraju, oraz stworzenia dla istniejących pracowników takich warunków bytu, w którychby praca nie była nieodzownie złączona z poświęceniem wszystkich sił, zdrowia a w olbrzymiej ilości wypadków życia. Fakt, że kolosalny procent zabiera z pośród nauczycielstwa straszny wróg ludzkości: gruźlica, że warunki pracy nauczycielstwa właśnie spustoszenie takie ułatwiają — nie może uniknąć uwagi społeczeństwa, które w zdrowiu nauczycieli czerpać musi i powinno rozwój oświaty, tej podstawy narodowego istnienia i postępu.

Równolegle z akcyą na pierwszem polu, powinna iść w tempie takiem samem i wzmożona akcya na polu uzdrowotnienia warunków pracy naszego nauczycielstwa. Akcyi takiej jesteśmy właśnie świadkami od kilku miesięcy. Zaczątek jej sięga założenia w r. 1905 ekonomicznego zrzeszenia nauczycieli w „Kraj. Ognisku nauczycielskiem", z którego to stowarzyszenia wyszła też myśl zbudowania **sanatoryum** dla piersiowo chorych nauczycieli.

Jako kamień węgielny pod sanatoryum posłużyć ma loterya fantowa, zorganizowana dzięki staraniom odpowiednich czynników, które udało się dla wielkiej sprawy pozyskać — śp. Andrzej hr. Potocki, Wanda Korytowska, marszałek St. hr. Badeni, prez. Mniszek Tchorznicki stanęli na czele komitetu, kierującego akcyą. Wydano pół miliona losów na pięć tysięcy wartościowych fantów o ogólnej wartości



Dla zdrowia nauczycieli: Mikołaj Budzanowski, inicyator loteryi na sanatoryum nauczycieli.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Dla zdrowia nauczycieli: Grono komitetowych przy sprzedaży losów loteryi fantowej.

70.000 kor., a rozlosowanie ich nastąpi już z końcem tego miesiąca.

Z akcyą tą związane jest nierozerwalnie imię jej inicyatora i najgorliwszego działacza, nauczyciela lwow. szkoły im. Piramowicza, p. Mikołaja Budzanowskiego. Z miasta do miasta, „rzemiennym dyszlem“ jeździ, budzi do sprawy zapał, pozyskuje chętnych, których w naszem ofiarnem społeczeństwie nigdy nie brak; zakłada komitety, urządza wieczorki, odczyty i t. p. Dziś już kraj cały zaangażowany jest w tej sprawie i spodziewać się należy, nietylko... platonicznie.

W ostatnich dniach widzieliśmy p. Budzanowskiego w Zakopanem, gdzie udało mu się bardzo liczną sferę osób dla sprawy pozyskać. Rycina nasza przedstawia właśnie scenę sprzedawania losów w Zakopanem, druga daje portret zasłużonego działacza, którego nazwisko będzie po długie czasy związane ze sprawą tak doniosłej wagi dla naszej oświaty.

Teatr góralski.

Zakopane posiada od pewnego czasu bardzo dobry teatr amatorski, w którym występują miejscowi górale. Teatr ten, założony z inicyatywy „Związku teatrów i chórów włościańskich“, rozwinął się bardzo szybko i pięknie, wystawienie zaś całego szeregu utworów ludowych, a zwłaszcza Rydla „Betleem polskiego“, przynosi mu prawdziwą chlubę.

Sala, jaką teatr rozporządza, jest dosyć obszerna, a scena urządzona odpowiednio i zaopatrzona w malownicze dekoracye. Na czele teatru stoi od roku p. Franciszek Pawlica, który gorliwie pracuje nad podniesieniem poziomu tej sceny i zapewnieniem jej materyalnego powodzenia.

Górale zakopiańscy, których inteligencya i spryt ogólnie są znane, stanowią doskonale zgraną trupę amatorską, to też na przedstawienia ich uczęszcza bardzo licznie publiczność, przebywająca w Zakopanem.

Zamieszczamy dziś grupę członków tego teatru z zasłużonym kierownikiem, p. Pawlicą w pośrodku.



Teatr góralski: Trupa amatorskiego teatru górali z Zakopanego, z Fr. Pawlicą (×) w pośrodku

Katastrofa w Tatrach.

Przepiękne nasze Tatry pochłonęły znowu kilka ofiar. Jedno życie ludzkie padło już ich łupem, inne są zagrożone. Stało się to w środę ubiegłego tygodnia, a już pierwsza wiadomość o wypadku wywarła w Zakopanem głębokie wrażenie i ogólne współczucie.

We wtorek rano — jak komunikują z Zakopanego — puściło się od Kuźnic przez Boczań czterech młodych taterników: dwaj cywilni i dwaj uczniowie wojskowych szkół. Byli to Władysław Jenkner, uczeń szkoły kadeckiej i jego brat Gustaw, słuchacz uniwersytetu wiedeńskiego, Ryszard Maluszka, słuchacz akademii artyleryi w Mödling, oraz Ferdynand Götel, słuchacz politechniki wiedeńskiej. Götel prowadził wycieczkę, jako wprawny i doświadczony taternik. Wspaniała pogoda sprzyjała zamiarom młodych turystów, którzy skierowali się ku przełęczy Krzyżne, sławnej z piękności widoku. Po noclegu przy Gąsienicowych Stawach, ruszyli następnego dnia w najlepszych humorach w dalszą drogę. Szli przez



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Katastrofa w Zakopanem: Akcya pogotowia ratunkowego przy przenoszeniu rannych.



Fot, J. Jaworski Zakopane.
Katastrofa w Tatrach: Słynny przewodnik, góral Klimek, obok niego Brzozowski (w pozyci leżącej), obaj zasłużeni około odszukania i przeniesienia rannych do Zakopanego.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Katastrofa w Tatrach: Grono ochotników, którzy najwięcej przyczynili się do odszukania nieszczęśliwych turystów. 1. Władysław Grabowski; 2. Janusz Chmielowski; 3. Włodzimierz Jodkowski; 4. Adam Staniszewski; 5. Walery Göttel, brat rannego.

Pańszczycę, ogromnej długości ponurą dolinę między grzbietami górskimi Koszystej i Żółtej Turni, zasypaną głazami, porośniętą gęstą kosodrzewiną.

Z drogi tej, utartej już od dawna, zboczyli turyści w prawo, kierując się najpierw na Buczynowe Turnie i zamierzając widocznie spuścić się stamtąd „granią“ wzdłuż Orlej Perci na Krzyżne. Dnia tego Turnie były jednak jeszcze trudniejsze do zdobycia niż zazwyczaj, gdyż skały były śliskie i pokryte warstwą śniegu, topniejącego pod promieniami słońca.

Kierownik wyprawy p. Götel postanowił zabezpieczyć towarzyszy przy zdobywaniu każdej piędzi skały, wszyscy więc czterej związali się dziesięciometrową linką, i w ten sposób wspinali się w górę. Byli już blisko szczytu, gdy jeden z idących niżej, potknął się i zaczął spadać. Götel, doświadczony i przytomny taternik, poczuwszy szarpnięcie sznura, rzucił się na ziemię i przycisnąwszy się do skały, starał się powstrzymać towarzyszy od upadku. Inni niestety nie mieli tej przytomności umysłu, to też upadający pociągnął ich za sobą. Równocześnie prawie linka pękła poniżej Götla i wszyscy trzej runęli w przepaść. Jeden Götel wyszedł stosunkowo cało, gdyż zdołał zatrzymać się na krawędzi skały. Potłukł się tylko dotkliwie i utracił przytomność, zwłaszcza że linka, okręcona naokoło ciała, mocno go zdusiła.

Przyszedłszy do przytomności począł wołać głośno o ratunek, licząc na to, że w Pańszczycy znajdują się inne wycieczki. Istotnie usłyszano go i wyekspedyowano natychmiast oddział ratunkowy z linami, pochodniami i żywnością. Prace jednak pierwszego pogotowia nie przyniosły rezultatu, dopiero druga zn'azła Götla, wiszącego nad przepaścią, z której głębi dochodziły głosy dwu innych nieszczęśliwych.

Po bardzo długich i męczących pracach, udało się wreszcie kilku góralom dotrzeć do dna urwiska, skąd sznurami wydobyto dwu ciężko rannych Jenknerów i zwłoki Maluszki, który na miejscu padł trupem, rozbiwszy sobie czaszkę. Następnie przeniesiono wszystkich do Zakopanego, gdzie lekarze przystąpili niezwłocznie do akcyi ratunkowej. Być może, że uda się wszystkich rannych utrzymać przy życiu.

Słuszne uznanie należy się członkom pogotowia ratunkowego, którzy bez względu na niebezpieczeństwo i trudy pracowali niezmordowanie nad odszukaniem, a następnie przetransportowaniem nieszczęśliwych do Zakopanego.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Katastrofa w Tatrach: Turnia Buczynowa (X), z której turyści spadli; przepaść, gdzie ich znaleziono (XX).

W skład ekspedycyi wchodzili pod przewodnictwem p. Jodkowskiego górale Wawryłko, Tatar, Bachleda, Klimek i Pęksa, nadto pp. Grabowski, Gwozdecki, Janusz Chmielowski, Walery Göttel i dr. Lisicki.

Szereg zdjęć, odnoszących się do tragicznej katastrofy w Tatrach, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Nadesłane one zostały do naszego pisma przez artystę malarza J. Jaworskiego, który był obecny przy akcyi ratunkowej w czasie poszukiwania, a następnie cucenia i transportowania ciężko rannych turystów do Zakopanego i jako doskonały amator-fotograf zrobił dla nas szereg zdjęć.

Podróż arcyksięcia balonem.

Szerokie kręgi zataczające zajęcie się sportem aeronautycznym sięga nawet daleko poza sfery zawodowych żeglarzy powietrznych. Słyszymy bowiem coraz częściej o dyletantach w tym kierunku, którzy podejmują śmiałe wycieczki w niezmierzone przestrzenie powietrzne.

Szczególniej teraz, gdy powstała rywalizacya między aeroplanami a balonami do sterowania, zdawało się, że balon kulisty dawnej konstrukcyi zupełnie został z użytku wycofany. Tymczasem jednak słyszymy od czasu do czasu, że aeronauci używają tego „staroświeckiego“ wehikułu powietrznego i to z pomyślnym skutkiem.

I tak, w bieżącym miesiącu wzniósł się w Lincu, z placu odbywającej się tam właśnie wystawy aeronautycznej, arcyksiążę Józef Ferdynand na balonie



Podróż arcyksięcia balonem: 1. arcyksiążę Józef Ferdynand, 2. arcyksiążę Henryk Ferdynand, 3. burmistrz Lincu dr. Dinghofer w łódce balonu „Salcburg“.

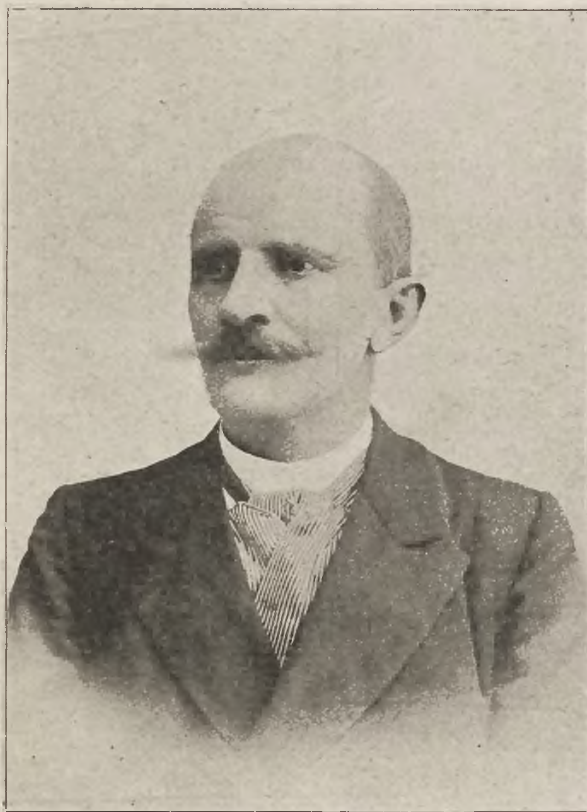


Fot. J. Jaworski

Katastrofa w Tatrach: Odnalezienie i cucenie G. Jenknera.

„Salcburg“, który jest jego własnością. Arcyksiążę ten nie jest wprawdzie zawodowym aeronautą, ale podobnie jak arcyksiążę Leopold Salwator, interesuje się żywą żeglugą powietrzną.

W wycieczce balonem towarzyszyli mu: brat jego, arcyksiążę Henryk Ferdynand oraz burmistrz



Ustąpienie zasłużonego pracownika sceny: Edward Webersfeld.

Lincu dr. Dinghofer. Balon wzniósł się w powietrze wobec wielotysięcznego tłumu, który żegnał entuzyastycznie dzielnych aeronautów. Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy w łódce balonu „Salcburg“ zajęli miejsca arcyksiążęta i ich towarzysz. Wylądowanie wzmiankowanego balonu odbyło się gładko i bez wypadku, co niezawodnie zachęci arcyksiążąt do dalszych prób żeglugi powietrznej, nietylko na balonach bez steru, które dają najmniej gwarancyi bezpieczeństwa.

Ustąpienie zasłużonego pracownika sceny.

Teatr lwowski pożegnał tymi dniami jednego z bardzo zasłużonych swych współpracowników, Edwarda Webersfelda, ostatnio dzielnego kierownika działu administracyjnego w tym teatrze.

Edward Webersfeld był niegdyś aktorem, pracował na kilku scenach, następnie jednak porzucił ten zawód i wstąpił do magistratu we Lwowie, do oddziału rachunkowego, gdzie dosłużył się rangi rewidenta, a przechodząc przed kilku laty w stan spoczynku, otrzymał tytuł radcy.

Opuściwszy stanowisko urzędnika, powrócił znowu do teatru, zaangażowany przez dyr. Hellera w charakterze kierownika działu administracyjnego. Na tem stanowisku zdobył sobie p. Webersfeld uznanie dyrekcyi a sympatyę artystów, którym starał się iść zawsze na rękę. Z żalem też żegnano go, gdy z powodu podeszłego wieku postanowił i to ostatnie swe stanowisko porzucić.

Wspomnieć jeszcze należy, że p. Webersfeld brał udział w powstaniu styczniowem, a szereg wspomnień z tych czasów ogłosił drukiem. Próbował też z dużem powodzeniem swych sił na polu literackiem; dorobek jego w tym kierunku stanowi kilka utworów dramatycznych, które wystawiano na scenach polskich teatrów.

Fabryka kalek.

(Do illustracyi tytułowej).

Zupełnie przypadkowo wykryto przed paru dniami w Leżajsku straszliwą zbrodnię, jakiej dopuszczali się przebywający w tamtejszych stronach żebracy-włóczęgi. Umysł ludzki wzdryga się zaprawdę na samą myśl o tych potworach, o tych szakalach w ludzkiem ciele, który dla wyłudzenia marnych paru groszy, nie wahali się okaleczać w okrutny sposób małych i niewinnych dzieci.

W dniu święta Matki Boskiej, które przypadało na 8 bm., odbywał się w Leżajsku odpust. Ściągnęły się tam oczywiście tłumy tysięczne wiernych, a prócz nich cały legion żebraków, którzy obsiedli wszystkie ścieżki, prowadzące do kościoła i odsłonili swe ułomności, aby ich widokiem wzbudzić litość przechodniów.

Padały więc obficie miedziaki do nastawionych czapek i miseczek, ludność wiejska bowiem jest litościwa, zwłaszcza w miejscach odpustowych.

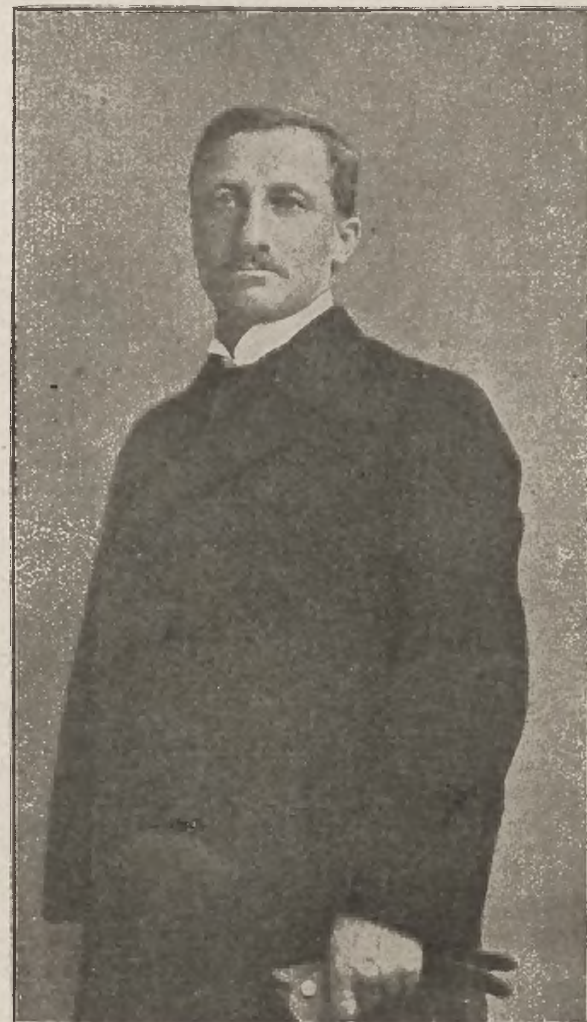
Między pątnikami, którzy obdarowywali żebraków, znalazła się pewna kobieta ze Staromieścia. Zwróciła na uwagę na młodego chłopaka, okaleczonego w straszliwy sposób. Miał on połamane ręce i nogi, wykręcony kręgosłup i obcięty język, to też tylko bełkotał coś niezrozumiale. Rzuciwszy mu jałmużnę, zamierzała owa kobieta pójść dalej, gdy uczuła, że malec ów chwycił ją za spodnicę, chcąc widocznie, aby mu się lepiej przypatrzyła. Poczciwa kobieta zatrzymała się więc jeszcze chwilę, a przypatrzywszy się dokładnie chłopakowi, poznała w nim swego siostrzeńca, który przed dwoma laty przepadł gdzieś w tajemniczy sposób.

Biedne, na zawsze unieszczęśliwione dziecię, poznało ciotkę i skorzystało z sposobności, by wezwać rodzinę na pomoc. Cel ten osiągnęło. Przerażona strasznem odkryciem kobieta narobiła hałasu, co sprowadziło na miejsce to żandarmeryę. Okrutnego dziada, który, jak się pokazało, porwał dziecię, a następnie okaleczył je w tak straszny sposób, by służyło mu jako narzędzie do wyłudzania datków, aresztowano niezwłocznie, a żandarmerya z trudem wielkim zdołała go ochronić przed samosądem oburzonego ludu.

Wypadek ten powinien skłonić władze, by baczną roztoczyły kontrolę nad dziadami, włóczącymi się po odpustowych miejscach i zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom.

Zwrócić na to należy tem baczniejszą uwagę, iż opisany tu wypadek nie jest pierwszym i nie jest odosobnionym.

Nawet w tym samym dniu i w tej samej miejscowości, gdy podrażniona do najwyższego stopnia



Walka o biegun północny: Dr. Fryderyk Cook (ostatnie zdjęcie, dokonane w Kopenhadze, po powrocie z podróży).

ludność poczęła przyglądać się z uwagą innym dzieciom-kalekom, prowadzonym przez żebraków, znaleziono drugą taką samą ofiarę okrucieństwa dziadów odpustowych.

Zdajemy sobie jasno sprawę z tego, że zadanie, jakie w tym kierunku czeka władze, jeśli chcą zapobiedz na przyszłość tak niesłychanym zbrodniom, jest bardzo ciężkie, gdyż szalbierze ci umieją swe postępki osłaniać bardzo sprytnie. Nie mniej bardzo ścisła kontrola i surowe, odstraszające karanie tego rodzaju zbrodni, powinno położyć tamę podobnym wypadkom.

Także społeczeństwo samo musi przyczynić się swemi usiłowaniami do działania władz i baczną zwracać uwagę na włóczęgów, zwłaszcza tych, którzy otaczają się dziećmi okaleczałemi.



Walka o biegun: Peary w czasie podróży do bieguna.



Walka o biegun północny: Peary ze swym ulubionym psem.

A. K. Green.

Który z nich?

2 (Ciąg dalszy).

— Nie rozumiem, dlaczego ojciec wezwał pana z ulicy, kiedy dwóch jego synów było w domu. Jeżeli jednak uczynił już to, miło nam, że wypadek sprowadził człowieka tak współczującego, jakim się pan okazuje.

Słuchałem tego w roztargnieniu, myśląc tylko o swym liście, nie wiedząc, czy mam go mu wręczyć.

— Może pan będzie tak uprzejmy dla nas i poczeka na przybycie komisarza — mówił dalej. — Telefonował, że będzie tutaj za kwadrans.

— Dobrze, poczekam chętnie — odpowiedziałem i na jego zaproszenie przeszedłem do salonu.

Blisko pół godziny minęło, zanim zjawił się komisarz. Potem upłynęła jeszcze długa chwila i dopiero wtedy wszedł do pokoju, w którym znajdowałem się. Był to człowiek o bystrem, rzutkiem wejrzeniu. Zapuścił za sobą portyerę i siadł tuż koło mnie, byśmy mogli porozmawiać spokojnie bez obawy podsłuchiwania.

— Pan jest panem Manjean — rzekł. — Byłem w częstych stosunkach z pańskim wspólnikiem. Czy pan znał już pana Hardy'ego lub jego rodzinę?

— Nie, panie, chyba tylko ze słyszenia.

— A więc dzięki tylko czystemu przypadkowi stał się pan świadkiem jego ostatnich chwil?

— Tak, dzięki przypadkowi, o ile nie wierzy się w Opatrzność — odparłem.

Utkwił we mnie badawcze spojrzenie.

— Proszę mi opowiedzieć, jak się wszystko stało.

Znalazłem się w kłopocie. Czy mam mu wyznać szczegóły, które skryłem przed synami zmarłego? Nie mogąc zdecydować się na nic, postanowiłem dać się kierować wypadkom i ograniczyłem swe opowiadanie do znanych już faktów. Gdy skończyłem, zapytał, czy pan Hardy mówił co do swej wnuczki przed śmiercią.

— Tego nie wiem.

— Czy wymawiał jakie słowa?

— Wydał kilka dźwięków nieartykułowanych, lecz żadnego nazwiska.

— Nie pytał się o synów?

— Nie!

— W jaki sposób rozniosła się ta wiadomość?

— Poszedłem razem z Klarą i zawołałem młodych panów Hardy.

Komisarz gładził się po brodzie, nie spuszczając ani na chwilę ze mnie oczu.

— Gdy pan wszedł, czy nie spostrzegł pan próżnego flakonu lub kawałka papieru na biurku albo na podłodze?

Zadrżałem.

— Jakiego papieru?

— Jakiego używają aptekarze do zawijania lekarstw. Kwas pruski, użyty przez pana Hardy'ego, musiał być kupiony w stanie płynnym. Trzeba od naleść buteleczkę, a nawet papier, w jaki ona była owinięta. O ile tylko, ma się rozumieć, pan Hardy zażył truciznę świadomie.

Starałem przypomnieć sobie zewnętrzny wygląd papieru, jaki włożyłem do koperty. Nie był on jednak wcale podobny do papierów, używanych przez aptekarzy. Odetchnąłem spokojniej.

— Nie zauważyłem wcale podobnego papieru.

— Gdzie jest ta mała dziewczynka? — zapytał potem — muszę z nią pomówić.

Byłem zdecydowany na jedną rzecz. Jeżeli dziecko powie, że jego dziadek dawał mi jakiś papier, potwierdzę to i oddam kopertę.

— Przypuszczam, że panu nie jest bardzo miło pozostawać tutaj — rzekł komisarz. — Niech pan mi da swój adres i będzie gotów stawić się na wezwanie w razie potrzeby. Teraz może już nas pan opuścić.

Za całą odpowiedź podałem mu swą kartę wizytową. Potem widząc, że jestem tu zupełnie zbyteczny, skierowałem się do drzwi, gdy ukazał się w nich nagle z przejętą miną doktór Bressant.

— Znalazłem coś! — zawołał, przerywając zaraz i spojrzał w moją stronę, jakby nie wiedział, czy może mówić przy mnie.

Komisarz nie miał takich skrupułów, gdyż zbliżył się szybko do doktora i rzekł:

— Flakon pan znalazł, czy też tylko papier?

Lekarz pociągnął go na bok i pokazał coś, co wydało mi się małym korkiem.

— W gabinecie pan to znalazł? — zapytał komisarz. — Sądziłem, że dobrze wszystko przepatrzyłem.

Lekarz odpowiadał po cichu, bez wszelkiej jednak trudności mogłem domyśleć się, co mówił.

— Na podłodze w jadalnym pokoju... pod rogiem dywanika... okoliczność to szczególniej podejrzana, czy nie uważa pan?... Nie Hardy przecież tam go schował... ktoś inny... nie wiem tylko kto... nie mówić o tem, by nie wzbudzać czujności.

Zamienili z sobą porozumiewawcze spojrzenie, które spostrzegłem w lustrze, znajdującem się naprzeciw nich. Nie okazałem wcale, że się czegoś domyślam. Czułem całą nienaturalność mego położenia. W chwilę potem skierowaliśmy się do westybulu.

Gdyśmy minęli próg, usłyszeliśmy czyjeś wołanie:

— Gdzie jest panna Saugey? Czy nikt jej nie widział? Nigdzie jej nie mogę znaleść.

— Genowefo! Genowefo! Gdzie jesteś? — wołał inny głos, w którym czuć było wielką obawę.

Genowefo! Czy serce me zaczęło silniej bić przy imieniu osoby, która potem w mej przyszłości odegrała tak wielką rolę? Nie mogę tego powiedzieć. To jest tylko pewne, że biło ono później, gdy słyszałem je wymawiane. Na razie byłem przejęty tylko ogólnem wzruszeniem i obawą, jaką wywoływało to wołanie. Słychać tylko było w całym domu przebieganie szybkich kroków i bezustanne wołanie: Genowefo! Klaro!

— Czy mała dziewczynka również znikła? — zapytałem komisarza, który zatrzymał się w westybulu.

— Widocznie. A kto jest ta panna Saugey?

— Jest to kuzynka tych panów — odpowiedział stary kamerdyner. — Pan Hardy lubił ją bardzo i była ona tutaj uważana jak jego córka. Znajdziemy ją w pokojach na górze.

Zapewnienia jego nie sprawdziły się jednak.

Nagle przypomniałem sobie jeden szczegół z pierwszej mej bytności na wyższych piętrach.

— Czy poszedł kto na czwarte piętro? — zapytałem doktora Bressanta. — Pamiętam, że gdy byłem w pokoju pana Alfreda Hardy'ego, słyszałem, iż ktoś przebiegał szybko przez korytarz. Przypuszczałem wtedy, iż to ktoś schodzi, lecz jest możebne, że właśnie osoba jakaś wchodziła na czwarte piętro.

— Chodźmy upewnić się na wszelki przypadek — rzekł doktór.

Poszedłem za nim bez wahania. Mijając apartament Alfreda, ujrzeliśmy jak szybko chodził po swym pokoju. Nie zauważył nawet naszej obecności. Rozdzierał na drobne kawałki arkusz papieru, podobny zupełnie do tego, jaki poprzednio rzucił do kosza i coś mruczał do siebie. Dosłyszałem tylko te słowa:

— Poco pisać? Jeżeliby kochała mnie, toby czekała. Nie ocali się, o ile...

Z palcem na ustach przeszedł lekarz szybko koło drzwi. Pospiesznie uczyniłem to samo i weszliśmy na schody, wiodące na czwarte piętro. Ani doktór ani ja nie znaliśmy tej części domu. Po przejściu ostatnich stopni znaleźliśmy się w zupełnej ciemności. Na końcu korytarza migotało słabe światło, dochodzące z półotwartych drzwi strychu. Weszliśmy tam i ujrzeliśmy z początku tylko kufry i kosze. Po rozkręceniu jednak kurka od gazu, oczom naszym przedstawił się niezwykły widok.

Oparta o mur w głębi, z utkwionemi w nas szeroko rozwartemi oczami, stała młoda panna, prawie jeszcze dziecko, o bladej twarzy i rozrzuconych w nieładzie włosach, które czyniły z niej jakieś widmo przestrachu. Można było poznać mimo to odrazu, iż jest bardzo piękna. Przy niej siedziała drzemiąc mała dziewczynka, której poszukiwano w całym domu.

— Kto pani jest? — zapytałem. Czy panna Saugey?

Lekarz schwycił mnie za rękę.

— Ostrożnie — szepnął mi — zdaje się, że ma atak nerwowy.

— Dziewczynka nie okazuje najmniejszej obawy — odrzekłem po cichu.

Lekarz podszedł ku niej.

— Poco pani wybrała takie chłodne miejsce? — rzekł uśmiechając się do młodej panny, która jakby chciała trzymać się rękami gołej ściany. Klara może się przeziębić; czy nie lepiej zejść na dół?

Genowefa — gdyż to ona była — zadrżała cała i spojrzała na małą dziewczynkę.

— Jak ona tu przyszła? — odezwała się. Ja jej nie wołałam.

— A jak pani sama tu się zjawiła? — mówił dalej lekarz z uśmiechem. Biała pani toaleta nie bardzo odpowiada temu strychowi...

— Powiedziano mi, że pan Hardy umarł — rzekła ze smutkiem. Kochałam go bardzo, przyszłam tu więc płakać.

Wargi jej były tak zaciśnięte ze strachu, czy też z innego wzruszenia, iż zaledwie mogła wymówić te słowa... Ani jednak zimno, ani wzruszenie, wywołane śmiercią krewnego — dobroczyńcy, nie mogły wytłomaczyć stanu, w jakim ją znaleźliśmy.

— Chodźmy! — nalegał lekarz łagodnym ojcowskim tonem, biorąc ją pod rękę — zejdźmy!

Poruszyła wargami, jak gdyby chciała odpowiedzieć: nie, żaden jednak dźwięk nie wyszedł z jej ust. Lekarz nie zwracając na to uwagi, położył mi na ręce małą dziewczynkę, sam zaś pociągnął Genowefę wolno za sobą. Przy schodach spotkaliśmy Alfreda. Może słyszał, żeśmy tu wchodzili; a może jemu samemu przyszło na myśl, by jej tu poszukać. Na nasz widok cofnął się, mówiąc:

— Znaleźli ją panowie! Genowefo — rzekł tonem wyrzutu — dlaczego nas tak zaniepokoiłaś? Czy nie dosyć mamy smutku, byś ty jeszcze napełniała nasze serce obawą o siebie?

Młoda panna poruszyła niewyraźnie wargami. Od chwili, gdy znalazła się w towarzystwie młodego człowieka, twarz jej zamieniła się w obojętną maskę. Szczegółem tym nie chcę wzbudzić żadnego uprzedzenia przeciw Alfredowi. Muszę dodać jednak, że gdy po chwili brat jego Lionel przybył na głos swej córki, Genowefa jakby cofnęła się instynktownie i zachowała swą niewzruszoną minę. W ten sam sposób przyjęła w parterze i słowa Jerzego, który wyraził jej swe zdziwienie z powodu niespodziewanego jej zniknięcia. Jak widać było, trzej ci kuzyni wywierali na nią przykre wrażenie, które zresztą chciała daremnie ukryć. W Alfredzie postawa jej wywołała wzruszenie, które łatwo można było sobie wytłomaczyć: Lionel wydawał się zdziwionym, Jerzy zaś był w przystępie takiego gniewu, iż twarz jego z czerwonej stała się przeźroczystą. Wszyscy jednak trzej wkrótce opanowali się, tem nie mniej zdradzili się ze swemi uczuciami dla tej panny, która mieszkała między nimi jako ich siostra.

Nie okazałem, iż spostrzegam to wszystko i z pewnem zdziwieniem wysłuchałem słów doktora Bressanta, który nachylił się ku mnie i rzekł:

— W jaki sposób ona tak prędko dowiedziała się o śmierci swego wuja? Mówi pan, iż słyszał, jak przechodziła koło drzwi Alfreda, gdy pan był u niego. Zaledwie na chwilę przedtem pan Hardy umarł przy panu. Może ją pan poprzednio spotkał? Czyż byłaby podczas ostatnich chwil swego wuja?

— Nie wiem. Sam na strychu zobaczyłem ją dopiero poraz pierwszy. Mogła jednak znajdować się w jednym z sąsiednich pokojów lub w jakimś zakątku tego wielkiego westibulu.

Stała ona obecnie przy framudze drzwi. Nieruchomy jej wzrok, ręce zaciśnięte z tyłu na plecach, wskazywały, że całą swą energię skupiła na jakimś przedmiocie, by pohamować swój ból i uczucia, jakie nią miotały. Spostrzegł to Lionel i stawiając na podłodze swe dziecko, które dotychczas trzymał na rękach, zbliżył się do kuzynki i zadał jej kilka pytań. Komisarz, na którym obecność młodej i tak pięknej panny wywarła silne wrażenie, nie dał jej czasu na odpowiedź.

— Jeżeli pani jest panną Saugey — odezwał się — to pani wuj i opiekun zmarł w niezwykłych warunkach.

Ręce młodej panny, założone na plecach, skrzyżowały się na piersiach, wzrok jej jednak pozostał nieruchomo na tem samem miejscu. Może obawiała się spotkania z wejrzeniem trzech młodych ludzi, którzy stali za tym, co zadawał jej pytania.

— Czy powiedziano już pani, w jakich to stało się warunkach? — spytał znowu komisarz zachęcającym głosem.

— Nie, panie!

Odpowiedź była prosta i stanowcza. Widać było, że młoda panna posiada wiele charakteru, mimo znękania, w jakiem ją znaleźliśmy.

— Czy ta mała dziewczynka nic pani nie opowiedziała? — nalegał komisarz, wskazując na dziecko.

— Klara? Nic mi nie mówiła — rzekła zupełnie szczerze zdziwiona. Przynajmniej nic nie słyszałam.

Poznać można było z zachowania się komisarza, iż chce traktować młodą pannę z wszelkimi względami.

— Doktór Bressant poinformuje panią o wynikach, do jakich doszliśmy. Na razie pragnę tylko zapytać się, kiedy pani widziała po raz ostatni pana Hardy'ego.

— Kiedy go widziałam? — powtórzyła, rzucając spojrzenie na drzwi do gabinetu. — Było to przy kolacyi. Siedzieliśmy wszyscy — przy słowach tych spojrzała po raz pierwszy na kuzynów. — Wuj miał wygląd, jakby się lepiej czuł, jadł z apetytem i kazał sobie podać na deser kieliszek porto. Był już

sam, gdy go pił. Jestem o tem najzupełniej przekonana, że był sam.

Jakieś westchnienie, albo raczej echo tylko westchnienia było odpowiedzią na te słowa. Pochodziło ono od jednego z trzech braci, nie wiem jednak od którego. Słysząc je, młoda panna cofnęła się, jak przed uderzeniem. Podniosła swe ręce do uszu, by je zakryć, lecz zaraz szybko je opuściła, poczem obrzuciła każdego z kuzynów długiem, bolesnem a zarazem i przenikliwem spojrzeniem.

— Tak chętnie pozostałabym dłużej z nim przy stole, gdybym mogła przypuszczać, że to będzie już raz ostatni — dodała z prostotą.

Łkanie przerwało jej słowa. Zdało mi się, jakby z serca ujęto mi ciężaru, doktór jednak i komisarz, jak widać było, nie podzielali mego wrażenia.

— Nie zupełnie dobrze rozumiem — rzekł urzędnik policyjny po krótkiem milczeniu — pani wyjaśnienia. Jeżeli pani jest obecnie tak wzruszoną z tego powodu, iż go pani pozostawiła samego, to w takim razie pan Hardy kazał zwykle podawać porto dla wszystkich siedzących przy stole.

— Tak jest! Zawsze wieczorem przed wstaniem od stołu wypijaliśmy toast na jego zdrowie. I właśnie opuszczenie go dzisiaj jest mi tak bolesne. Źle jednak, że o tem mówię. Nikt z nas nie mógł nawet myśleć, że to jest ostatnia jego kolacya.

Patrzyła nam teraz prosto w oczy. Nagle zmienił się wyraz jej twarzy. Wyciągnęła ręce przed siebie — wołając:

— Ale wy coś ukrywacie przedemną. W jaki sposób mój wuj umarł? Powiedzcie mi to zaraz, powiedzcie!

Lionel podbiegł do swej córeczki, wziął ją na ręce i zaniósł szybko do sąsiedniego pokoju. Jerzy pochylił się, lecz zaraz potem wyprostował się dumnie. Alfred tylko zbliżył się do swej kuzynki, by jej przyjść z pomocą, lecz czynił to z pewnym przymusem. Młoda panna nie zwracała zresztą na nich najmniejszej uwagi. Utkwiła oczy w twarzy komisarza z wyrazem takiego smutku i bólu, iż zdawało się, że zaraz zemdleje. Lekarz zrozumiał, iż należy natychmiast mówić, by mogła jeszcze zrozumieć.

— Wuj pani został otruty, można jednak przypuszczać, że wypił truciznę w jakiś czas po kolacyi. Działanie kwasu pruskiego jest gwałtowne.

Panna Saugey słyszała tylko pierwsze zdanie. Przy słowie otruty padła bez czucia. Podczas gdy wszyscy pośpieszyli z pomocą ku niej, ja i młody doktór, przyjaciel Jerzego, zostaliśmy sami.

— Co za urocza panna! — zawołał z przejęciem. Jak ona musiała kochać swego wuja! Zdaje się, iż była jego sekretarzem.

Chociaż bardzo pragnąłem poznać stosunki, jakie łączyły młodą pannę z panem Hardy, przykro byłoby mi jednak mówić w podobnej chwili o niej z tym młodym człowiekiem, którego po raz pierwszy dopiero widziałem.

— Musiał to zatem być człowiek bardzo zajęty, jeżeli potrzebował sekretarza? — zapytałem go. Takie zresztą wrażenie wywarł na mnie jego gabinet. Nadmiar pracy prowadzi często do samobójstwa.

Przy słowach tych młody doktór obrzucił mnie podejrzliwem spojrzeniem.

— Istotnie — odrzekł oschle i na tem przerwał rozmowę.

Obejrzałem się w koło. Pannę Saugey przeniesiono do sąsiedniego pokoju. Komisarz rozmawiał z kamerdynerem, który wydawawał się bardzo strapionym z powodu śmierci swego pana. W chwili tej usłyszałem dwukrotne przekręcanie klucza w zamku, zamykano właśnie drzwi od sali jadalnej i przyłożono na niej pieczęcie. Alfred Hardy przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach sąsiedniego pokoju śledził, co się dzieje tam, gdy zwolna panna Saugey powracała do przytomności. Ponieważ mój towarzysz zamilkł, mogłem dosłyszeć dość wyraźnie opowiadanie starego służącego.

— To ja, proszę pana komisarza, usługiwałem jak zwykle przy stole. Własnoręcznie odkorkowałem butelkę i postawiłem ją przed panem Hardy. Młodzi panowie nawet się jej nie dotykali; pan Jerzy skarżył się na migrenę. Pan Lionel pije zawsze tylko wodę. Co zaś do pana Alfreda, to nakrył ręką swój kieliszek i nic nie rzekł, dlaczego nie chce pić. Wszyscy wstali od stołu z wyjątkiem pana Hardy'ego, który pozostał sam, by wypić swoje porto. Miał minę cokolwiek zasmuconą. Sprawiało to wiele przykrości pannie Genowefie. Zawsze była niespokojna, gdy jej wuj nie był zadowolony ze swych synów.

— Proszę pokazać mi tę butelkę porto i kieliszek, z którego pił pan Hardy.

— Kiedy, proszę pana komisarza, proszę mi wybaczyć, ale resztę tośmy wypili w kuchni. Często to czyniliśmy, pan nam pozwalał. Mówił zawsze: „Mateuszu, możecie dokończyć w kuchni tej butelki". Dzisiaj, coprawda, tego nie powiedział, lecz ja wiedziałem, że pan nigdy o to nie gniewałby się. Już od dwudziestu lat, proszę pana komisarza, służę tutaj. Byłem zupełnie młody, gdy pan mnie wziął; przyzwyczailiśmy się już do siebie. Co zaś do kieliszka, to ja go już dawno umyłem i schowałem z innymi w kredensie. Pan o godzinie dziewiątej wydawał się zupełnie zdrowy.



Przy niej siedziała drzemiąc młoda dziewczynka, której poszukiwano w całym domu...

— To znaczy wówczas, gdy zażądał malagi?

— Tak proszę pana komisarza.

— I którą Mateusz sam zaniósł?

— Nie, proszę pana, ja wziąłem butelkę z kredensu, ale do gabinetu zaniósł ją pan Lionel. Zadzwonił na mnie z jadalnego pokoju i gdy przyszedłem, zażądał butelki malagi dla pana. Podałem ją i wróciłem do kuchni.

— I tej butelki nie znaleziono?

— Nie widziałem już jej potem. Może kto inny ją ustawił. Nie była ona pełna. Pan z niej już wypił dwa lub trzy kieliszki.

— A skąd wzięto kieliszek, z którego pił pan Hardy?

— Również z kredensu; na dole w nim mam zawsze przygotowaną pewną liczbę kieliszków.

— Więc Mateusz sam go wziął stamtąd?

— Tak, proszę pana komisarza.

— Mateusz wziął pierwszy, jaki wpadł pod rękę i podał wprost panu Lionelowi?

— Tak mi się zdaje.

— Czy w pokoju świeciło się? Czy dosyć było światła, by widzieć, który się bierze, czy też Mateusz szukał poomacku?

— Świecił się tylko jeden płomień gazowy, a pokój jest wielki, mimo to rozróżniałem kieliszki. Wiem zresztą, skąd je brać.

— Dobrze! A więc Mateusz dostrzegłby, że wzięty kieliszek jest nieczysty?

Kamerdyner zrobił minę oburzoną, że można pytać się nawet o coś podobnego.

— One są zawsze czyste, proszę pana komisarza. Kładę okulary, gdy je myję.

— Bardzo dobrze! To Mateusz nosi nieraz okulary?

— Gdy wycieram kieliszki? Tak, proszę pana komisarza.

Komisarz nie pytał już o nic więcej. Nie chciał zapewne, by wyglądało, iż podejrzenia swe zwraca na Lionela. Nie miał zresztą i czasu, gdyż w chwili tej ukazała się na progu panna Saugey. Zatrzymała się, wodząc dokoła niepewnym wzrokiem, który Alfred chciał zwrócić na siebie.

— Klaro? Gdzie jest Klara? — zapytała. Czas już, by ją ułożyć spać.

— Oto jest — odpowiedział Lionel, wychodząc z salonu ze śpiącem na jego rękach dzieckiem. Weź ją, Genowefo, tylko jej nie budź. Lepiej położyć ją w ubraniu, niżby miała znowu przestraszyć się.

Genowefa trupio blada wyciągnęła ręce po dziecko.

— Panna Saugey nie ma jeszcze dość siły, by ją przenieść — rzekł doktór, mała jednak dziewczynka już się przytuliła do piersi swej opiekunki.

— Mogę ją przenieść — odrzekła Genowefa, obracając głowę, gdy Lionel nachylił się, by pocałować w czoło swą córeczkę.

— Jesteś tego pewna? — zapytał Alfred.

— Zupełnie pewna — odpowiedziała i przycisnęła dziecko do siebie.

— Pozwól, bym ci towarzyszył, nalegał młody człowiek, lecz widząc utkwiony w siebie wzrok komisarza, dodał: o ile potrzebujesz pomocy.

Nie potrzebowała jej jednak, gdyż w chwilę potem ujrzałem, jak wchodziła sama po schodach, chociaż nie zbyt pewnym krokiem. Twarz Jerzego, który był do tej pory nachmurzony, rozjaśniła się, na Alfredzie zaś widać było zawód i niezadowolenie z niego.

Tymczasem komisarz zwrócił na siebie ogólną uwagę, mówiąc głośno do stojących przed nim braci.

— Panowie, jako synowie zmarłego w ten sposób pana Hardy'ego, zapewne nic nie będą mieli przeciw temu, bym natychmiast przystąpił do wykrycia, kiedy i w jakich okolicznościach ojciec panów wypił truciznę, która go o śmierć przyprawiła.

Nikt nie odpowiedział, mówił więc dalej.

— Znikła butelka, z której pan Hardy wypił kieliszek w jakiś czas po wstaniu od stołu. Panowie pozwolą, bym przedsięwziął poszukiwanie tej butelki w całym domu.

— Ja mogę panu powiedzieć, gdzie ona się znajduje — odparł na to Jerzy. — Miałem u siebie kilku przyjaciół, którzy przyszli na partyę bricza. Zeszedłem wówczas na dół po butelkę wina i wziąłem pierwszą, jaka mi wpadła pod rękę. Wszyscyśmy z niej pili, nie mogła więc zawierać nic szkodliwego. Znajdzie pan ją w moim pokoju.

— Ach! Doskonale — odrzekł komisarz. — Jeżeli pan i pańscy przyjaciele pili to wino, jesteśmy w takim razie upewnieni co do jednego bardzo ważnego punktu.

Przerwał swe słowa i całą uwagę zwrócił na odgłos lekkich lecz szybkich kroków, które dochodziły nas ze służbowych schodów w drugim końcu westybulu. Jakiś młody człowiek, którego nikt do tej pory nie widział, ukazał się nagle, niosąc w ręku pustą butelkę. Wziął ją komisarz i bez najmniejszego tłomaczenia obecności w domu tego nieznajomego, pokazał ją Jerzemu, zapytując:

— Czy o tej butelce pan mówił?

Jerzy zrobił potwierdzający ruch głową.

Komisarz podniósł butelkę do światła, obracając ją na bok. Na dnie znajdowało się jeszcze kilka kropel wina. Wylał je sobie na rękę, wąchał długo i wreszcie przyłożył do nich koniec języka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć „króla kolejowego“.

Stosunki społeczne w Ameryce północnej, dzięki specyalnym tamtejszym warunkom, ukształtowały się zupełnie odmiennie, niż stosunki w starym świecie. Między innymi, zupełny brak arystokracyi rodowej w tamtejszem społeczeństwie nadał mu cechy wybitnie demokratyczne. Absolutnej jednak równości nawet w tak demokratycznem społeczeństwie, jak amerykańskie, osiągnąć nie podobna. I tam także pojedyncze jednostki skutkiem swych zdolności, energii, sprytu itd. wybijać się muszą po nad ogół.



Pouczająca wycieczka: Wycieczkowcy w Wilanowie.



Tragedya awiatora: E. Lefebvre.

Jedną zaś z najpotężniejszych dźwigni w tym kierunku jest pieniądz, którego posiadanie zapewnia wybrańcom fortuny za oceanem stanowisko wyjątkowe. W Europie bogactwo daje także duże przywileje, ale po za niem istnieje wiele jeszcze czynników, które normują stanowisko jednostki wobec społeczeństwa. W Ameryce zaś tylko „dolar“ jest osią, około której obraca się wszystko.

Dlatego też bogacze amerykańscy są ludźmi, wywierającymi nadzwyczajny wpływ na losy swej ojczyzny i cieszą się tamże nieograniczonymi wpływami. Oni dyktują poniekąd prawa, a zawsze stoją po nad nimi, oni dzierżą w swym ręku egzystencyę setek tysięcy ludzi, oni regulują ceny produkcyi wielu materyałów surowych, oni rozporządzają środkami komunikacyi na lądzie i morzu, oni wreszcie są panami giełdy, tego tak ważnego czynnika w życiu społecznem narodów. Nic tedy dziwnego, że Amerykanie interesują się osobistościami swych miliarderów więcej, niż mieszkańcy Europy losami swych bogaczów, mężów stanu, lub panujących. Osobistości takich Vanderbildt'ów, Gould'ów, Rockfeller'ów, Morgan'ów itp. stoją wciąż na świeczniku i otoczone są czcią prawie bałwochwalczą, którą trudno nam, Europejczykom, zrozumieć.

Do grona tych ludzi, którzy w fenomenalny sposób dorobili się olbrzymiej fortuny, należał także świeżo zmarły w Nowym Jorku miliarder Edward Henryk Harrimann, posiadający $^{3}/_{5}$ całej sieci kolei w Stanach Zjednoczonych oraz licznych przedsiębiorstw przewozowych na rzekach i jeziorach północnej Ameryki.

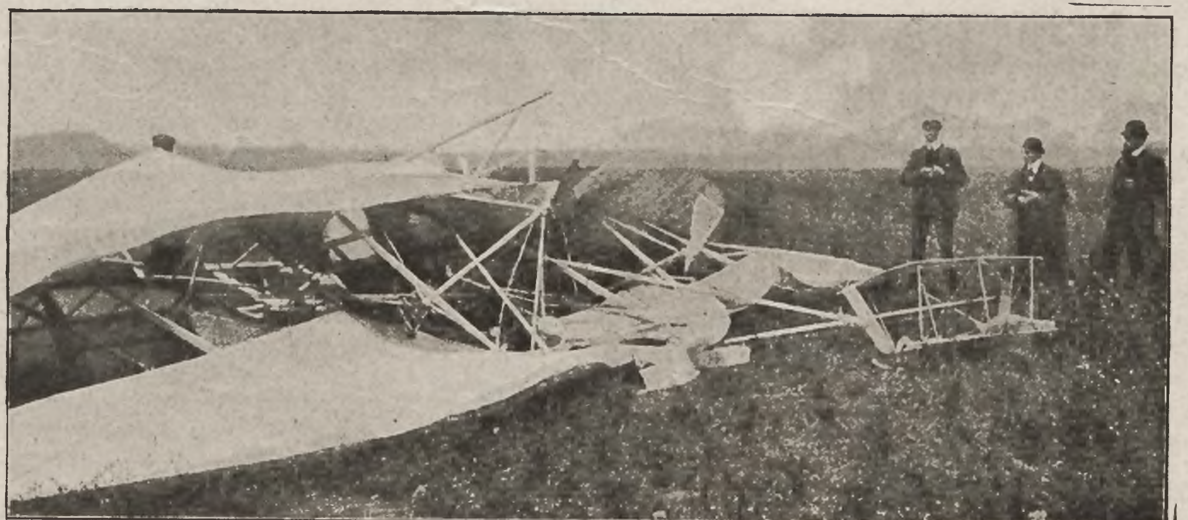
Harrimann, zwany powszechnie „królem kolejowym“, urodził się w 1848 r., jako syn niezamożnego pastora w stanie Long Island. Po ukończeniu szkoły ludowej wstąpił do pewnego kantoru na praktykę i z wielką biedą zaczął przepychać się przez życie. Dopiero od roku 1883, gdy został przyjęty do zarządu „Kolei centralnej Illinois“ datuje się początek jego fortuny, która jednak dopiero od lat dziesięciu poczęła gwałtownie wzrastać t. j. odkąd zapomocą trustów wszedł w posiadanie linij kolejowych na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie ustawodawstwo tamtejsze zakazuje tego rodzaju trustów, lecz Harrimann umiał je obchodzić zapomocą rozmaitego rodzaju kruczków prawnych.

Zmarły, którego portret podajemy w niniejszym numerze, odznaczał się żelazną energią i bezwzględnością w prowadzeniu interesów, umiał też stawić czoło nawet prezydentowi Roosevelt'owi wówczas, gdy tenże podjął walkę przeciw trustom. Posiadał on ogromny dar oryentowania się i kombinacyi w sprawach finansowych, a jedną z cech jego charakteru była oszczędność posunięta do skąpstwa.

Harrimann zmarł prawdopodobnie na raka w żołądku. Na krótko przed śmiercią bawił on na kuracyi w Austryi.



Pouczająca wycieczka: Grono uczestników wycieczki towarzystwa mleczarskiego.



Tragedya awiatora: Zrujnowany aeroplan Lefebvre'a.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Wyjaśnienie się sytuacyi. — Zmiana gabinetu. — Sejm i deficyt. — Trzy przesilenia. — Z manewrów. — Hakata przy pracy. — Zamatowany „Schach“. — Wojna biegunowa i jej wpływ na małżeństwa. — Zemsta sufrażystek i jeszcze o wybuchu prochowni. — „Burzymurki“ przy pracy. — Wybrnięcie z honorem).

Zaczynam niestety powoli przekonywać się, iż moje przewidywania co do ułożenia się stosunków wewnętrznych w Austryi prawdopodobnie się nie spełnią i że pan baron Bienerth jest daleko większym politykiem odemnie. Jakich on tam karmelków dał czeskim i niemieckim mężom stanu, tego nie wiem, faktem jest jednak, iż horyzont polityczny zaczyna się wyjaśniać, a paragraf czternasty schowano do archiwum. W krótkim czasie zbiorą się sejmy, między innymi galicyjski i czeski, a na 19 października proponują zwołanie Rady państwa. Nie chcę naszych posłów posądzać o chciwość, ale jakoś koniecznie mi się zdaje, że wzburzone umysły uspokoiły się jedynie dlatego, aby raz przecież doczekać się tych dyet upragnionych, które bezużytecznie pleśnieją w państwowych kasach i skarbcach. Od uruchomienia sejmu czeskiego zależy zwołanie Rady państwa, od tego zaś płynność dyet, nic też dziwnego, że nagle się uciszyło, bo przecież na zimę potrzeba pieniędzy. A może to tylko cisza przed burzą, a bar. Bienerth stanie się konduktorem, w który walić będą pioruny czeskie i niemieckie, niczem ongi w Woli Duchackiej na prochowni?

W związku z owemi pertraktacyami z czeskimi i niemieckimi mężami stanu, stoi zmiana umeblowania gabinetu pana Bienertha, skąd ma się wynieść stare fotele na strych, zwany w życiu codziennem emeryturą, a zastąpić je nowymi. Na razie przebąkują o czterech nowych, inne jeszcze do zimy dotrzymają. Przy tej sposobności i dr. Głąbiński zmieni prawdopodobnie swój cylinder na ministeryalny pióropusz i z magnificencyi stanie się ekscellencyą. Będzie to wywdzięczenie się pana prezydenta gabinetu za życzliwe pośrednictwo, a tryumf dla narodowej demokracyi, która w swem łonie posiada bardzo wielu kandydatów do teki ministeryalnej. Ale któreż stronnictwo ich niema? Nawet taka skromna socyalna demokracya nie pogardziłaby fotelami, choć właściwie proletaryat międzynarodowy sympatyczniej wygląda na drewnianej ławie, niż w złoconym fotelu. Prawdę powiedziawszy, to i ja w własnej mej osobie, choć jestem z natury skromny i przestający na małem, nie wahałbym się wcale z przyjęciem ministeryalnej teki, gdyby mi ją *nota bene* ofiarowano, wybrałbym jednak portfel ministra skarbu, aby uregulować finanse, w pierwszym rzędzie swoje własne.

Oj, te finanse to nam się dają na każdym kroku we znaki. Wygotowany już preliminarz budżetu krajowego na rok 1910, który będzie rozdany posłom sejmowym galicyjskim, zamyka się niedoborem dwudziestu dwu milionów koron. Pierwszem i najgłówniejszem zadaniem po zwołaniu Sejmu będzie załatanie dziur budżetowych w własnym zarządzie, na sanacyę bowiem finansów krajowych ze strony centralnego Rządu trzeba będzie jeszcze bardzo długo czekać. Sesya sejmowa potrwa stosunkowo krótko, najwyżej trzy tygodnie, aby posłowie nie zmęczyli się bardzo i bodaj kapkę energii zachowali na Wiedeń. Rząd, który bardzo lubi niespodzianki, termin zwołania sejmu galicyjskiego utrzymywał do niedawna w tajemnicy.

Niespodzianek w czasie kadencyi oczekiwać nie należy, co najwyżej ujrzymy kawałeczek ruskiej obstrukcyi i wzajemne kiwanie sobie palcem w bucie. Dla posłów, którzy zasiadają i w parlamencie, będzie to do pewnego stopnia training polityczny przed wiedeńskimi galopami.

Ale i tu jeszcze nie koniec przesileniom, które stały się chronicznemi w Austryi. Pomimo zażegnania, przynajmniej pozornego, przesilenia z tej strony Litawy i uspokojenia się z tamtej, grozi Austro-Węgrom przesilenie wspólne, które wybuchnie z chwilą zwołania delegacyi i obrad nad kwestyą aneksyi Bośni i Hercegowiny i połączonych z tem kosztów. Węgrzy postanowili zagarnąć oba te kraje na wyłączną swą własność. Austryacy, rzecz prosta, nie chcą się na to zgodzić. Ponieważ jednak nasi mężowie stanu lubią się zawsze spaźniać, prawdopodobnie Węgrzy ich uprzedzą i zaanektują dla siebie obie prowincye, które całemu państwu, a głównie naszej połowie, tyle ubiegłej zimy sprawiły kłopotu. Bardzo piękna to cnota własnemi rękoma wyciągać z ognia kasztany, które potem kto inny zjada z apetytem, a celuje w niej właśnie Austrya.

Takim właśnie kasztanem, wyjętym z ognia dla „wiernego sojusznika“ z nad Sprewy, były tegoroczne manewry cesarskie na Morawach, które się właśnie skończyły. Wypróbowano wprawdzie najważniejsze zdobycze na polu techniki wojennej, ale austryackim prusofilom dano sposobność wyrażenia lojalnych uczuć pod adresem pruskiej pikelhauby, która im tak imponuje i do której tak nabożnie wzdychają. W miarę tego rośnie też ich buta i zarozumiałość, a choć są to cnoty bardzo wątpliwej wartości, Niemcy pielęgnują je u siebie z całym pietyzmem.

Mieliśmy tego świeży dowód na zjeździe *Ostmarkvereinu* w Katowicach. Ponieważ stwierdzono, że niemczyzna na Śląsku zamiast się wzmagać, ustawicznie się cofa, celem pokrzepienia serc zebrano się na wschodnich kresach, gdzie prorok hakaty i jeden z jej założycieli, Tiedemann, stwierdził wprawdzie postęp Ostmarkvereinu, ale równocześnie narzekał na wzmaganie się intrygi polskiej, powołując się w tym względzie na wywody pułkownika Cardinal v. Widdern. Bolały Niemiaszki nad swą krzywdą i uchwaliły jednogłośnie wezwać kanclerza, aby poczynił kroki przeciw zdradzieckiemu wichrzeniu prasy polskiej, która szerząc aspiracye wielkopolskie, mąci spokój i naraża na niebezpieczeństwo interesy państwa. Głupio humorystyczny był występ prasy hakatystycznej, która wydała wierszowaną odezwę do Niemców, aby każdy z nich, za przykładem sprzymierzonych Hottentotów, pożarł na śniadanie trzech Polaków, a zażegnane będzie polskie niebezpieczeństwo. Wątpić należy, czy ten eksperyment zdałby się na co, Niemcy mogli się już przecież przekonać, że Polacy są bardzo niestrawni i zjeść się tak łatwo nie pozwolą. Że na nas mają apetyt, w to wierzę, ale ich pragnienia nigdy się nie spełnią i pozostaną, pomimo naszej obojętności, w sferze jedynie pobożnych życzeń. Kto zdobył powietrze, a niedalekim jest i zawładnięcia morzem, chciałby, aby i ziemia cała stała się jego własnością, aby nadszedł czas, gdy będzie jedna owczarnia i jeden nad nią pasterz w pikelhaubie.

Zanim to jednak się spełni, niechby mieszkańcy państwa bojaźni Bożej i dobrych obyczajów, którzy widzą źdźbło w cudzem oku, wyjęli belkę z swego własnego, bo takich przecież łotrów *summo gradu*, jak pomiędzy nimi, choćbyś z lampą Dyogenesa szukał, nie znajdziesz na całym świecie. Po różnych Eulenburgiadach i innych podobnych świństwach, zdawało się, iż przecież może koniec tych mętów społeczn. h, niedługo jednak kazali Niemcy czekać na siebie, a kronika skandaliczna wzgociła się znów o jednego bohatera. Poseł do parlamentu niemieckiego, Schach, wyłapany został na handlu dziewczętami w Hamburgu. Prawdopodobnie czynił to w interesie swej ojczyzny, aby szerzyć niemieckość i poza Europą, nie chciały tego jednak uznać władze kryminalne. Ponieważ wielcy ludzie stoją nawet u bogobojnych Niemców poza prawem, powiedziano panu Schachowi „mat“ i zdetronizowano go. Nie dostał się atoli do kryminału, na który sobie zasłużył, uznano go umysłowo chorym i osadzono w domu waryatów, skąd łatwo będzie mógł uciec, aby dalej prowadzić swe rentowne a patryotyczne przedsiębiorstwo.

Sensacyę, która każe zapomnieć o wszelakich innych sprawach, wywołało odkrycie bieguna północnego przez dra Cooka i porucznika Peary'ego. Wprawdzie w poprzedniej kronice już o tem wspominałem, dziś muszę powrócić do tej samej materyi, gdyż światu grozi wojna biegunowa. Jak dotąd nie mieliśmy żadnego bieguna, tak teraz mamy ich aż trzy, jeden południowy i dwa północne. Ludność całego świata podzieliła się na dwa obozy, wrogo względem siebie usposobione, Pearystów i Cookistów, a obaj odkrywcy wymyślają sobie wzajemnie, jakby jeden z nich był socyalistą, a drugi narodowym demokratą. Jak podają pisma zagraniczne, spór ten stał się już przyczyną zerwania wielu małżeństw w Ameryce, gdy narzeczony był zwolennikiem np. Cooka, a oblubienica przedkładała Peary'ego. Warto by spróbować, czy też w Europie nie dałoby się tego samego zastosować, np. do rozwodów małżeńskich. Od kilku dni badam ostrożnie, a jednak systematycznie, zapatrywania mojej dozgonnej towarzyszki życia, babsko jednak, jakby coś przeczuwała, trzyma się ciągle w rezerwie. Niechby, jak to powiadają, „puściła farbę“ i zdeklarowała się uznać Cooka za właściwego odkrywcę, ja zaraz oświadczam się za Peary'm i na drugi dzień wnoszę podanie o sądową separacyę od stołu i łoża, zaznaczając wyraźnie na *rubrum*: X., c. k. kronikarz *Nowości illustrowanych*, uprasza o rozwód sądowy od stołu i łoża ze swą prawnie poślubioną małżonką Kunegundą z Korkocióg-Butelkowskich, z powodu odkrycia bieguna północnego.

Wiem, że przez to narażam się całemu rodzajowi żeńskiemu, a zyskuję wdzięczność uciemiężonych mężów, którym wskazałem deskę ratunku. Krakowskie sufrażystki gotowe postąpić ze mną podobnie, jak ich angielskie koleżanki z ministrem Asquitem, którego najpierw obiły, a potem wytłukły mu wszystkie szyby w mieszkaniu. Obicia się nie boję, jestem bowiem zaasekurowany od wypadku, byłaby to więc tylko woda na mój młyn, gdyż właśnie pieniędzy potrzebuję, co do okien zaś, to szyby w nich i tak wybite i to od czasu wybuchu prochowni w Woli Duchackiej. Wierząc święcie w zapewnienia ministrów, iż wszystkie szkody będą wynagrodzone, czekam spokojnie na odszkodowanie, ale jakoś się go nie mogę doczekać. Tak samo czekają cierpliwie mieszkańcy Woli Duchackiej, gdyż zima się zbliża, a oni nie mają dachu nad głową. Gotowe i na nich spełnić się stare a pewne przysłowie: „Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo!“

Ani przypuszczałem, iż z bieguna północnego tak łatwo się dostać między sufrażystki, które są moją słabą stroną, a z niemi razem znaleść się w Woli Duchackiej. Ponieważ zaś stąd, nawet krakowskim tramwajem, można się za godzinę dostać do Rynku, wracam duchem i ciałem w mury starego Krakowa, któremu znów od naszych znanych „burzymurków“ grozi poważne niebezpieczeństwo.

Kraków, pragnący uchodzić za miasto starożytne, stara się ciągle i konsekwentnie o wyzbycie się ostatnich cech, świadczących o jego świetnej przeszłości. Być może dzieje się to dlatego, iż jak wiadomo, prawda w oczy kłuje, a te zabytki przypominają dzisiejszemu skarłowaciałemu i geszefciarskiemu pokoleniu, że ojcowie byli innymi, niż oni! Dość przypatrzyć się starożytnym odrzwiom kamienic, pozasłanianym obecnie szyldami, przypominającymi odpustowe obrazki lub gablotkami z różnemi częściami męskiej i damskiej garderoby, aby zrozumieć, że dzisiejszy Kraków stara się wszelkiemi siłami o zerwanie ostatnich nici, wiążących go z przeszłością.

Te uwagi nasunęły mi się mimowoli z okazyi projektowanego zburzenia tak zwanej baszty Kościuszki u zbiegu ulic św. Anny i Podwala. Napotkałem wprawdzie w jednem z pism sarkastyczną wzmiankę, (bo humorystyczną nazwać jej nie mogę), że zabytek ten należy zachować, gdyż mieszkał tam lokaj Kościuszki, a potem sekwestrator miejski, jako rodowity Krakowianin, żyjący tu w pół wieku, wiem przecież, iż każdy z mieszkańców naszego grodu tak zżył się z tym budynkiem, przypominającym nam naszego Bohatera, iż starania usunięcia go spotkałyby się z protestem całego naszego społeczeństwa z wyjątkiem może tych, którzy mają w tem swój ukryty interes. Zaprotestowały już przeciw temu barbarzyństwu towarzystwa krakowskie, mające na celu zachowanie resztek zabytków przed niszczącą ręką nowoczesnej gorączki budowlanej, jaki jednak starania ich odniosły skutek, dotąd nie wiemy, a społeczeństwo ma prawo i musi upomnieć się, by uszanowano jego wolę, choćby nawet nie podobało się to temu lub owemu korespondentowi humoryście.

Bardzo dobrym sposobem wyjścia z niemiłej sytuacyi jest projekt, jaki w liście nadesłanym do Redakcyi, podał pan Jerzy Ciołek Żelechowski ze Lwowa, z okazyi artykułu, umieszczonego w naszem piśmie w tej sprawie przed kilku tygodniami. Proponuje on mianowicie, jako sercem i duszą Krakowianin, „*by drogą publicznych składek zakupić zagrożoną basztę, odrestaurować ją z pietyzmem, odezwać się do społeczeństwa, by posiadane przedmioty, dotyczące Tadeusza Kościuszki i tegoż epoki tam ku pamięci umieścito, a prawdopodobnie znajdzie się dość chętnych, którzy poprą sprawę i doślą darów, które zapełnią to muzeum, raczej ten dom T. Kościuszki*“. Projekt bardzo odpowiedni i na czasie, odrestaurowana baszta mogłaby się stać jedną z ozdób Krakowa. Trochę tylko dobrej woli, a wyjdziemy obronną ręką.

Jako początek i zachętę nadesłał projektodawca na ten cel dziesięć koron, które są w każdej chwili do dyspozycyi Towarzystwa, chcącego się zająć tą sprawą. Odezwa pana Żelechowskiego, podyktowana prawdziwym patryotyzmem i uwielbieniem dla narodowego Bohatera, powinna znaleść uznanie w najszerszych kołach naszego, z ofiarności na cele publiczne znanego społeczeństwa. Towarzystwo Miłośników przeszłości Krakowa powinno ująć sprawę w swe ręce i pokierować nią należycie, a zyska sobie wdzięczność każdego, komu rozwój rodzinnego grodu leży na sercu!

X.

Sensacyjny romans.

(Do illustracyi na stronie 3 i 4).

W światku teatralnym romans nie należy do rzadkości. Jest tam na porządku dziennym. Sprzyja mu atmosfera życia teatralnego. sprzyja mu temperament, zwyczajny u artystów i pewne zamiłowanie ekscentryczności, wreszcie pragnienie zmian i nowych ciągle wrażeń. Rzadko też ludzie zajmują się romansami zakulisowymi i trzeba wypadku chyba bardzo sensacyjnego, by wzbudził zainteresowanie w szerszych kołach.

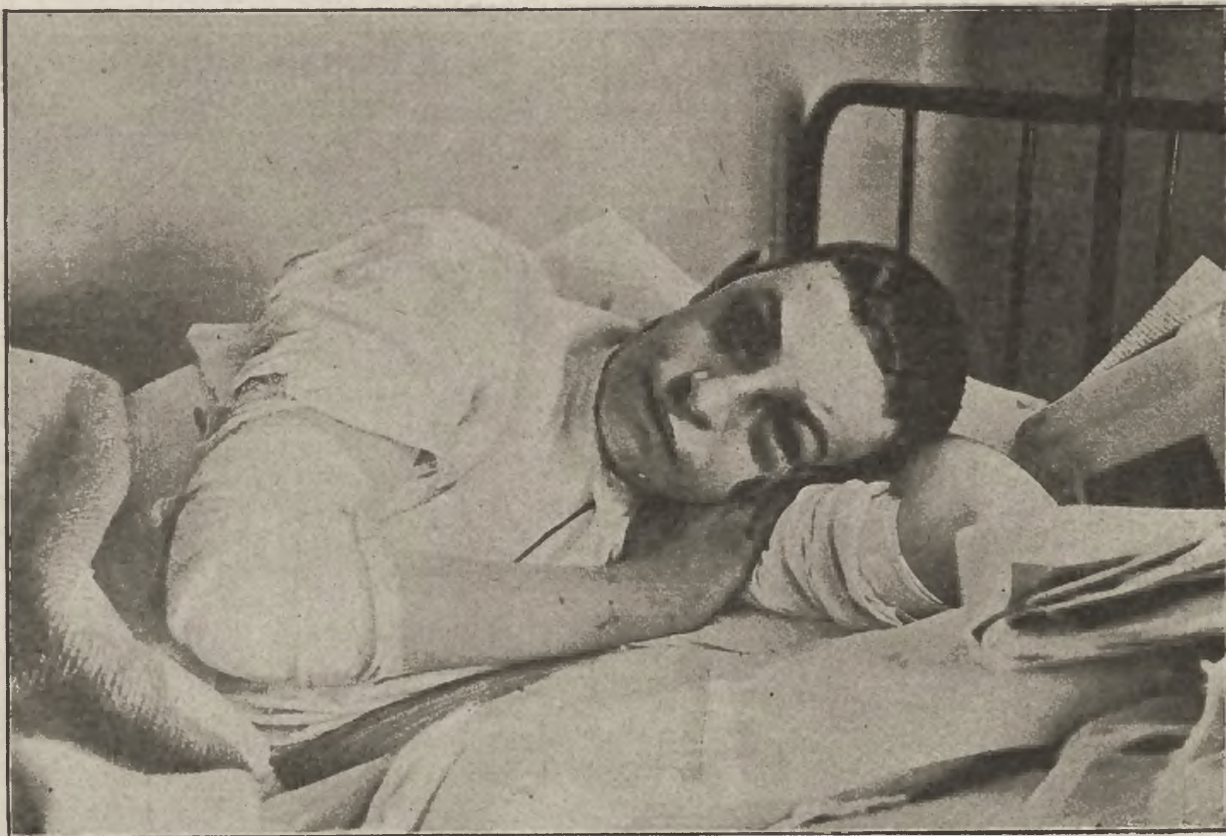
Do takich właśnie, bardzo sensacyjnych, należy wypadek, którym zajęły się przed kilkoma dniami dzienniki lwowskie i krakowskie. Romans między znaną artystką dramatyczną, Konstancyą Bednarzewską i jej kolegą zawodowym, Hubertem Brzozowskim, członkami personalu artystycznego w teatrze lwowskim.

Zainteresowanie tą sprawą miało kilka powodów. Raz, że p. Bednarzewska jest osobą starszą, liczącą coś 47 lat życia, Brzozowski zaś jest młodzieńcem 25-letnim, powtóre, że powszechnie był znany stosunek, jaki p. Bednarzewską łączył od lat wielu z b. dyrektorem scen krakowskiej i lwowskiej, Tadeuszem Pawlikowskim, dalej, że oboje zakochani uciekli w tajemniczy sposób ze Lwowa w daleki świat, że wreszcie rozeszły się pogłoski o tragicznej śmierci obojga.

Niewiadomo jaką drogą, dość że nadszedł w ubiegłą sobotę prywatny telegram do Lwowa z Monte Carlo, donoszący, że w tej uroczej miejscowości zamordował aktor ze Lwowa Brzozowski swą towarzyszkę podróży Konstancyę Bednarzewską, a następnie sobie życie odebrał. Wiadomość tę przyniosły dwa dzienniki lwowskie. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie wywarła ta pogłoska w całym Lwowie, gdzie para, która stanowiła bohaterów tragedyi, tak ogólnie była znaną. Nie brakło momentów, uprawdopodobniających sensacyjną pogłoskę. Wiedziano we Lwowie, iż kochankowie zniknęli, wiedziano, że w rodzinie Brzozowskich samobójstwa na tle erotycznem nie należą do rzadkości. Brat Huberta, Stanisław, zastrzelił się przed kilku laty z powodu Dagny Przybyszewskiej, siostra ich, Jadwiga, zginęła samobójczą śmiercią wspólnie z drem Piotrowskim w Krakowie.

Mimo to jednak czekano potwierdzenia urzędowego tej wiadomości. Dotąd potwierdzenia takiego niema. Przeciwnie, władze policyjne w Monte Carlo zawiadomiły policyę lwowską, że w ostatnich dniach nie było tam osób tego nazwiska, oraz że nie zaszedł żaden wypadek morderstwa i samobójstwa. Trudno zaś przypuszczać, by nawet tak niechętnie rozgłaszające wiadomości o samobójstwach władze, jak w Monte Carlo, w takim razie rozminęły się z prawdą. Ponadto wiadomość ta jest sprzeczną z inną, która doszła o kierunku podróży p. Bednarzewskiej. Dostał ktoś mianowicie niedawno list od niej, datowany z Aleksandryi, a zawiadamiający, iż celem jej podróży jest Syrya w Małej Azyi.

Wynika z tego, iż pogłoska o tragedyi, jaka rozegrać się miała w Monte Carlo, jest mistyfikacyą, najprawdopodobniej zemstą kogoś oszukanego czy zawiedzionego. Osoba ta cel swój osiągnęła, bo skompromitowała romansową parę.



Katastrofa w Tatrach: Władysław Jenkner.

Tragedya awiatora.

Wzrastający i rozwijający się coraz szybciej sport awiatyczny, który niedawno święcił tak wspaniałe tryumfy w Reims, zaczyna powoli pochłaniać ofiary. Było to zresztą do przewidzenia i każdy aeronauta musi być przygotowany, gdy wzlatuje w powietrzne przestworza, iż spotkać go może nieszczęście, iż może postradać życie, a conajmniej ciężko się pokaleczyć.

Taki właśnie smutny, tragiczny los spotkał w ubiegłym tygodniu jednego z wybitnych awiatorów francuskich, E. Lefebvre'a, mężczyznę 28 letniego.



Z manewrów cesarskich: Balon-*captif* podczas służby na polu manewrów.



Katastrofa w Tatrach: Gustaw Jenkner.

Był on technikiem ukończonym a dyplom uzyskał na politechnice w Lille. Pracował w Rosyi w fabryce przyrządów do chłodzenia, ponadto żywo interesował się postępami żeglugi napowietrznej. Aeroplanem nauczył się kierować bez czyichkolwiek wskazówek, a wzloty jego w Betheny pod Reims wsławiły go jako jednego z najśmielszych żeglarzy napowietrznych.

Po ukończeniu zawodów w Reims, pozostał jeszcze Lefebvre we Francyi i na polach Juvisy pod Paryżem czynił dalsze doświadczenia i próby wzlotu.

W ubiegłym tygodniu, korzystając z pomyślnych warunków atmosferycznych, wzniósł się w powietrze, zamierzając odbyć dłuższą drogę. Nagle po przebyciu około 400 metrów, aeroplan jego przewrócił się w powietrzu i spadł na ziemię, grzebiąc pod swymi szczątkami Lefebvre'a. Poniósł on śmierć na miejscu skutkiem pęknięcia czaszki i przekrwienia mózgu.

Skutkiem tego, że aeroplan jest zupełnie zniszczony, niepodobna stwierdzić, jaka była przyczyna katastrofy. Niektórzy rzeczoznawcy twierdzą, że aeroplan Lefebvre'a, zbudowany wedle systemu Wrighta, leciał za nisko, bo zaledwie na wysokości 6 metrów, a dla tego rodzaju maszyn jest to wzniesienie zbyt małe.

Wypadek ten wywarł w gronie awiatorów francuskich wielkie wrażenie i przygnębienie, a w kołach przyjaciół młodego aeronauty serdeczne współczucie, cieszył się on bowiem powszechną sympatyą.

Portret jego oraz widok pogruchotanej maszyny zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Gentleman - włamywacz.

W bieżącym tygodniu rozpoczęła się przed krakowskim sądem przysięgłych zajmująca rozprawa karna przeciw Janowi Gwizdakowi, znanemu włamywaczowi, który w kronikach kryminalnych Galicyi zdobył sobie swemi „dziełami“ jedno z bardzo poczestnych miejsc. Należał on do tego typu przestępców, którzy mieli więcej szczęścia, niż inteligencyi, i któremu szczęście to przez bardzo długi czas nadzwyczajnie dopisywało.

Historya jego życia zawiera sporo oryginalnych przygód. Naturalny syn Katarzyny Gwizdakowej, już jako chłopak kredensowy rozpoczął zawód złodziejski, okradając dwory we wschodniej Galicyi, gdzie przebywał na służbach. Schwytany wreszcie na gorącym uczynku, dostał się na 6 lat do Wiśnicza.

Odbywszy karę, osiadł przed trzema laty w Krakowie. Tu ubierał się elegancko, bywał w lepszych lokalach i restauracyach, podszywając się pod miano akademika. I tylko spryt a właściwie niezwykła bezczelność dopomagała mu do utrzymania się na wyżynie „inteligenta“, gdyż fizyognomia mało inteligentna i obejście lokajskie pozostało mu na zawsze.

W czasie tym próbował szczęścia w rozmaitych „przedsięwzięciach“ złodziejskich, które mu się bez wyjątku udawały. Zoperował sklep p. Armatowicza, mieszkanie p. Męcińskiego, hr. Osieckimskich, p. Klemensiewicza, prof. Pazdanowskiego.

Wyjeżdżał też na „występy“ na prowincyę i właśnie w czasie takiej wycieczki powinęła mu się noga. Sprawa jego aresztowania w Mościskach jest niezmiernie ciekawa. Oto przybył on zeszłego roku w sierpniu do dworu w Czyżowicach i przedstawił się właścicielce majątku, p. Misiągiewiczowej, jako Jan Bodyński, dodając, że wuj jego Aulich był poprzednio właścicielem Czyżowic. On więc pragnie zobaczyć miejsce, gdzie się wychował i spędził młode lata. Przypadkiem jednak w tym właśnie czasie przybyła tam i hr. Marya Irsay, i poznała w młodym, sentymentalnym człowieku złodzieja, który w jej dworze popełnił kradzież.

Wezwano tedy żandarmeryę, i ta aresztowała



Z manewrów cesarskich: Korpus oficerski 100 p. p. z Krakowa, z pułkownikiem Klahrem (X) w pośrodku.



Z manewrów cesarskich: Telefon polowy.



Motocyklista, oddający depeszę generałowi.

go w Mościskach. Rewizya przeprowadzona w mieszkaniu, wydała wspaniałe rezultaty. Wyszły na jaw prawie wszystkie jego kradzieże, których rejestr jest imponujący.

Śledztwo, które przez rok cały prowadził dr. Taubenschlag, ustaliło fizyognomię Gwizdaka. Nie był to rycerz przemysłu w wielkim stylu, lecz zbrodniarz pospolity, który obracał się w kołach inteligencyi, choć nie miał po temu żadnych warunków.



Głosy publiczne.

Zarząd Związku teatrów i chórów włościańskich zamianował na posiedzeniu ostatniem pana Jerzego Marczewskiego znanego zaszczytnie artystę dramatycznego teatrów Warszawskich, Lwowskich i Krakowskich inspektorem scenicznym Związku w charakterze urzędnika stałego. Pan Marczewski organizować będzie drużyny teatralne, udzielać wskazówek fachowych. Na życzenie istniejących drużyn p. Moraczewski wyjeżdżać będzie do odnośnych miejscowości prowadzić i reżyserować przedstawienia. Zgłoszenia wszystkie przyjmuje biuro „Związku teatrów i chórów włościańskich“ Lwów ul. Ossolińskich l. 9.



Śmierć „króla kolejowego“: Edward Henryk Harrimann

Odezwa: Dziś kiedy Niemcy twierdzą, że brak nam funduszów na szkoły, dziś właśnie powinno całe społeczeństwo zbijać przy każdej sposobności to twierdzenie i niech się dowiedzą nasi wrogowie, że nawet najbiedniejszy spieszy u nas ze swym groszem wdowim, niosąc go w ofierze na budowę szkół.

W porównaniu do ofiarności innych narodów zostaliśmy bardzo w tyle, ale nie powinniśmy unikać żadnej sposobności, aby choć w części n. p. Czechów naśladować.

W kilku handlach umieszczone są puszki I. Koła męskiego Tow. S. L. na kupony, które otrzymuje każdy kupujący. Kupony te rzadko kto może zużytkować, bo nie łatwo drobnemi kwotami osiągnąć sumę do wypłaty procentu konieczną.

Często kupon taki zaginie i wartość jego się marnuje; tymczasem wrzucony do puszki przynosi wcale pokaźny dochód T. S. L. jak to poniższe zestawienie za pierwsze półrocze b. r. wskazuje:

W handlu:

p. K. Wołkowskiego	20·60	oraz	gotówką	—·76	hal.
„ Reima i Ski .	14·51	„	„	—·04	„
„ I. J. Fischera .	10·—	„	„	—·60	„
„ L. Sykutowskiego	5·13	„	„	1·02	„
„ M. Dutkiewicza	3·62	„	„	1·06	„
„ C. Śmiechowskiego	3·05	„	„	—·43	„
„ A. Froncza . .	2·67	„	„	—·13	„

I. Koło męskie T. S. L. składając serdeczne podziękowanie tak wymienionym firmom jak i P. T. Publiczności, która o puszkach naszych pamiętała, polecając owe handle, poleca nadal i puszki na kupony.



C. k. Dyrekcya kolei państw. ogłasza: Z dniem 16-go września b. r. wchodzi na liniach kolei państwowych: Wiedeń-Lwów i Kraków-Wieliczka ponownie w życie rozkład jazdy wydany w dniem 1. maja b. r. W okręgu c. k. Dyrekcyi kejei państwowych w Krakowie zajdą z tego powodu następujące zasadnicze zmiany:



Gentleman-włamywacz: Jan Gwizdak.

Ruch pociągów pospiesznyah Nr. 103 i 104, kursujących na szlaku Kraków-Lwów zostanie wstrzymany, natomiast pociąg pospieszny Nr. 4 będzie się zatrzymywać dla wsiadania i wysiadania podróżnych w stacyach: Sędziszowie, Ropczycach, Słotwinie-Brzesku i Bochni. — Pociąg osobowy Nr. 54 będzie odjeżdzać z Rzeszowa i przyjeżdzać do Krakowa wcześniej. Przy pociągach kursujących na szlaku Kraków-Wieliczka zajdą bardzo nieznaczne zmiany, o których można się poinformować we wszystkich stacyach, tudzież z kieszonkowego rozkładu jazdy, który można nabywać w kasach osobowych.

Za c. k. Dyrektora kolei państwowych: *Zborowski.*



Kącik humorystyczny.

Przebiegły.

Sędzia: Niech mi świadek, Eulalia Piernikarska powie, ile lat liczyła jej matka, gdy świadek ujrzał światło dzienne?

— Dwadzieścia!

— A ile teraz liczy matka świadka?

— Sześćdziesiąt dwa!

Sędzia (do protokolanta): Proszę pisać: świadek Eulalia Piernikarska, lat czterdzieści dwa...

A kepełe.

Aron Pomidorgelb, asenterowany do wojska, robi waryata i w celach obserwacyi odkomenderowany zostaje do szpitala.

Gdy nadszedł szabes, Aron na gwałt zaczął się dopominać koszernych potraw i rytualnych przyborów do modlitwy. Lekarz wojskowy starał mu się wytłómaczyć te zachcianki, ale gdy Aron zaczął w gwałtowny sposób dopominać się żądanych rzeczy, aby uniknąć rozdrażnienia pacyenta, kazał jednemu z posługujących żołnierzy, przynieść dla Arona od rabina przybory do modlitwy i koszerne jedzenie z restauracyi żydowskiej. Wieczorem zaś, chcąc się dowiedzieć, czy Pomidorgelb otrzymał to wszystko, przychodzi sam do szpitala. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do sali, gdzie leżał Pomidorgelb, dostrzegł go siedzącego i palącego cygaro.

— Pomidorgelb! — woła zdumiony lekarz — oho! to taki jesteś pobożny i modlisz się i jesz koszerne, a mimo to, choć nie wolno, to palisz w szabas cygara?!...

— Ny! panie doktor! — odpowiada z dowcipną miną Pomidorgelb — a moży mi nie wolno, skoro ja jezdym *miszygene?*...

Krewny — niekrewny.

Dwóch żydków cybulizowanych, jak to mówią, jedzie II. klasą pociągu pospiesznego. Obaj jadą do Lwowa. Zabawiają się rozmową i jeden drugiego obełguje, jak może. Szczególnie jeden z nich, zamieszkały w Krakowie, łże jak najęty, opowiadając niestworzone rzeczy o odbytych przez siebie podróżach. Przed samym Lwowem, ten mniejszy blagier, uważa za stosowne przedstawić się swemu towarzyszowi podróży:

— Pan pozwoli, że ja będę poczebowacz sobi przedstawicz! Ja sobi naziwam Markus Platz i jezdem ze Lwowa.

— Markus Platz — powtarza drugi cybuch — a czy pan nie poczebujesz bicz jakie krewny od tegi *Marcus Plaz* z Wenecye?...

W sądzie.

Prezydent sądu (donosi skazanemu mordercy, że odwołanie się jego do łaski monarszej, zostało odrzucone): Jutro zatem o 5-tej, zostaniesz powieszony!

Delikwent: Stanowczo się temu sprzeciwiam — to jest dla mnie za wcześnie, panie prezydencie! Ja nie jestem przyzwyczajony tak wcześnie wstawać i zawsze, ilekroć tylko tak rychło wstanę, mam potem przez cały dzień bardzo silną migrenę...

Dobry skutek.

Po odczycie jakiegoś eleuterysty, który w popularnych zwrotach zachęcał przedmiejską ludność do wegetaryanizmu i szeroko opowiadał, jakie dobre i zdrowe są jarzyny, mówi jeden andrus do drugiego:

— Felek! Słyszołeś, co? Bandziemy teroz jeść ino same jarzyny! Chodź, trzeba Marcinowej buchnąć z jaki korzec zimnioków!...

Pomógł mu.

Ojciec wyrobił synowi zadanie.

— I cóż powiedział nauczyciel? — pyta chłopca, który znów zapłakany wrócił do domu.

— Przeczytał... i... i... po... powiedział, że ze mnie to co... codzień większy o... osioł!...

Enfant-terrible.

— Czemu płaczesz Adasiu!?

— Bo ciocia tak długo siedzi...

— A czemuż nie mam siedzieć?

— Bo ciocia siedzi na mojej bułce z masłem....

ooo

Pechowiec.

On: O, Boże! Boże! Nawet nie przypuszczałem, nigdy, że ja od ciebie będę musiał tyle znosić!...

Ona: To pocóż prosiłeś o moją rękę?

On: Miałem nadzieję, że dostanę kosza!...





Z półek księgarskich.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Encyklopedyi ludowej w Krakowie rozpoczęła wychodzić pod Redakcyą Z. Herynga **Encyklopedya ludowa,** składająca się z kilkudziesięciu artykułów zasadniczych, rozpatrujących wszelkie przejawy twórczości ducha ludzkiego. Artykuły te wydane zostaną w formie oddzielnych broszur, których treść zgrupować się da w czternastu podstawowych działach.

Na całość złoży się w ten sposób około 130 broszur ogólnej objętości około 150 arkuszy tekstu z przeszło 100 tablicami, które zajmą około 30 arkuszy. Cena każdej broszury, stanowiącej dla siebie odrębną całość, wynosić będzie zależnie od objętości 25 do 62 hal. (10—25 kop.) Prenumeratorzy zamawiający naraz 10 broszur, korzystać będą z 20% rabatu, przy wniesieniu całkowitej prenumeraty koszt Encyklopedyi obniży się o 33⅓%.

Dotychczas opuściły prasę:

Broszura wstępna: *Jaką winna być Encyklopedya ludowa.* Opracował Zygmunt Heryng.

Broszura 1. *Co da Encyklopedya ludowa robotnikom i włościanom,* opracował Zygmunt Heryng.

Broszura 2. *Z czego powstaje pijaństwo i jak z nim walczyć,* opracowała Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Broszura 3. *Jak osuszać za mokre i jak nawadniać za suche grunty,* opracował inżynier S. Turczynowicz.

Broszura 4. *Czy kobieta powinna mieć te same prawa, co mężczyzna?* opracowała K. Bujwidowa.

Skład główny w Krakowie *w księgarni Ludowej K. Wojnara* i w Warszawie w *Księgarni Naukowej.*



Rozwiązanie zagadek z Nr. 36.

Szarada: Katarakta.
Logogryf: Wybuch w Genewie.
Łamigłówka teatralna: Madame Butterfly.
Łamigłówka: Marat, Danton.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: W. Ostrowski Rzeszów, M. Trepkówna Radom, E. Sawicki Skała, Z. Kozicki Radłów, W. Marszycka Tarnopol, Z. Ciechanowski Stary Sambor, S. Rogoyski Bochnia, J. Januszkiewiczówna Zakopane, N. Kierska Truskawiec, W. Trąbczyńska Bytom, S. Knapik Kołomyja, J. Szczęsnowicz Płock, A. Biliński Tarnopol, H. Minasowicz Rzeszów, S. Wiśniowski Kraków, S. Karwowski Poznań, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwołoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów, Z de Boulangé Gawłówek, K. Lohn Warszawa, S. Naganowski Warszawa, M. Łopatkiewicz, M. Bartmańska i Z. Więckowski Krynica, J. Piękoś Brody, M. Januszówna Przemyśl, G. Hajduk J. Winkowska Tarnopol, F Gebhardt Muszyna, J. Planecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabierzewski Bochnia, B. Berger Lwów, L. Witekowa Krasne, M. Serbańska Budzanów, M. Malaczyński Pikułowice, J. Wolski Przemyśl, O. Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja, M. Liskowacki Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A. Dziewoński Przemyśl, H. Drzymuchowski Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, O. Lewensohn Kraków, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, K. Platowski Lwów, M Flakowska Horożanna wielka, L. Zimet Jasło, W. Czeppê Tarnobrzeg, C. Kornowska Warszawa, Koło T. S. L. Millie Bukowina, Kasyno i Czytelnia w Żurawnie, Z. Koniński Petersburg, J. Grochowski Wiśnicz, K. Steiermann Warszawa, L. Glińska Kalisz, S. Topolnicki Rzeszów, R. Herz Trembowla, J. Walicki Podwołoczyska, M. Rybicka Tarnów, M. Stępień Kraków, M. Kulinowska Opatów, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski Lwów, Z. Wiśniewski Lwów M. Roznerska Rzeszów, B. Michalec Kraków, St Krzyżanowski Kraków, B. Mulecki Kraków, W. Ostrowski Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała *W. Marszycka, Tarnopol.* Upraszamy o nadesłan 35 hal. na koszta przesyłki.



Nadesłane.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

3 (Ciąg dalszy).

— Co mi pan plecie? Uczeń retoryki....

— W liceum Janson, ulica de la Pompe. numer...

— Oh! tego już za wiele—zawołał pan Filleul—pan drwi sobie ze mnie! Swych żartów niech pan nie przeciąga ponad miarę!

— Wyznam panu sędziemu, że pańskie zdumienie zadziwia mnie. Dlaczegóż nie mogę być uczniem liceum? Może przeszkadza mi w tem moja broda? Niech pan się uspokoi, moja broda jest fałszywa.— Izydor Beautrelet oderwał włosy, które zdobiły jego podbródek, a twarz jego bez zarostu okazała się jeszcze młodszą. Z uśmiechem, który odkrył jego białe, zdrowe zęby, rzekł:

— Czy teraz pan przekonał się? Czy jeszcze potrzeba panu dowodów? Proszę przeczytać adres na liście mojego ojca: „Izydor Beautrelet, uczeń liceum Janson de Sailly.“

Przekonany czy nie, pan Filleul nie z wielką wiarą słuchał tej historyi. Wreszcie spytał gniewnie:

— Co pan tu robi?

— Ależ uczę się.

— Na to są licea.

— Pan sędzia zapomina, że dzisiaj dwudziestego trzeciego kwietnia, więc jesteśmy w środku wakacyi wielkanocnych.

— A więc?

— A więc mogę korzystać z tych wakacyi według swej woli.

— Pański ojciec?....

— Mój ojciec mieszka daleko, w głębi Sabaudyi i on sam doradził mi tę małą wycieczkę nad brzegi La Manche.

— Z fałszywą brodą?

— Och! co to, to nie. Myśl ta należy tylko do mnie. W liceum rozmawiamy często o tajemniczych przygodach, czytujemy romanse policyjne. Wymyślamy całe masy strasznych skomplikowanych scen. Chciałem zabawić się i przyprawiłem sobie fałszywą brodę. Miałem z tego tę korzyść, że uważano mnie za starszego i mogłem uchodzić za paryskiego reportera. W ten sposób dopiero wczoraj wieczorem po całym tygodniu bez znaczenia, miałem sposobność poznać swego towarzysza z Rouen, który zaproponował mi dzisiaj rano wynajęcie na wspólny koszt pojazdu, by udać się tutaj.

Izydor Beautrelet dawał to wyjaśnienie zupełnie szczerze, z jakąś naiwną prostotą, której wrażeniu nie można się było oprzeć. Nawet pan Filleul, nie wychodząc z swej podejrzliwej rezerwy, słuchał z pewną przychylnością. Zapytał go też łaskawszym tonem:

— I zadowolony jest pan z swej wycieczki?

— Zachwycony! Tembardziej iż nigdy nie byłem jeszcze świadkiem podobnej sprawy, a ta nie jest pozbawiona interesu.

— Ani tajemniczych komplikacyi, w jakich pan znajduje tak wielkie upodobanie.

— I które są tak bardzo pociągające, panie sędzio. Niema dla mnie większych wrażeń, jak patrzeć na te fakty, które wychodzą niby ze zmroku, łączą się razem i formują zwolna istotę rzeczy, choć tylko prawdopodobną.

— Istotę rzeczy? Prędko pan do niej dochodzi! Czy nie chce pan przypadkiem powiedzieć, że ma pan już gotowe rozwiązanie tej tajemnicy?

— Oh, nie — odparł śmiejąc się Beautrelet — zdaje mi się tylko.... iż są pewne punkty. o których można wyrobić sobie jasne zdanie i inne tak dokładne, iż wystarczy.... wnioskować z nich tylko.

— Co raz ciekawszem staje się to, co pan mówi i sam chciałbym się czegoś dowiedzieć. Przyznam się bowiem ze wstydem, że jeszcze nic nie wiem.

— Gdyż pan sędzia nie miał jeszcze czasu do namysłu. Główną rzeczą jest namysł. Rzadko bardzo zdarza się, by fakty nie miały same w sobie własnego wytłomaczenia!

— Więc podług pana fakty, które dopiero co stwierdziliśmy, same się tłomaczą?

— Czyż nie jest to pańskie zdanie? W każdym razie ja nie sprawdziłem innych, jak tylko te, które są zapisane w protokole.

— Doskonale. Jeżeli więc spytam się, jakie rzeczy zostały skradzione w tym salonie?....

— Odpowiem, że wiem jakie.

— Jeszcze lepiej! Pan więc wie więcej, niż sam właściciel. A jeżeli zapytam się o nazwisko zabójcy?

— Również odpowiem, że je znam.

Wszyscy obecni poruszyli się zdziwieni. Zastępca prokuratora i reporter roueński podsunęli się bliżej. Pan de Gesvres i obie młode panny słuchały uważnie, pobudzone spokojną pewnością siebie Beautreleta.

— Pan zna nazwisko zabójcy?

— Tak.

— A może i miejsce, gdzie się znajduje?

— Owszem!

Pan Filleul potarł sobie ręce:

— Co za szczęście! to schwytanie uczyni zaszczyt mej karyerze urzędniczej. I pan może zaraz poczynić mi te doniosłe zeznania?

— Zaraz? dobrze... Lub może, o ile pan nie uzna tego za nieodpowiednie, za godzinę lub dwie, dopóki nie ukończy pan zaczętego już śledztwa.

— O nie, mój młody bohaterze, zaraz....

W chwili tej Elżbieta de Saint—Veran, która od początku tej sceny nie spuściła oka z Izydora Beautreleta, zbliżyła się do pana Filleula.

— Panie sędzio....

— Czem mogę służyć pani?

Przez dwie lub trzy sekundy wachała się ze wzrokiem utkwionym na Beautreleta, poczem odezwała się:

— Prosiłabym o zapytanie tego pana, dlaczego przechadzał się wczoraj po drodze, wiodącej do małych drzwiczek w murze.

Był to niespodziewany zwrot w tej sprawie. Izydor Beautrelet wydał się zakłopotanym.

— Ja, proszę pani, ja? pani mnie wczoraj widziała?

Elżbieta pozostała na chwilę zamyślona ze wzrokiem na młodym uczniu, jakby chciała upewnić się w swem podejrzeniu, potem rzekła stanowczo:

— O czwartej godzinie po obiedzie, gdy przechodziłam przez lasek, spotkałam młodego mężczyznę tego wzrostu co pan, tak samo ubranego i z takąż brodą..... i doznałam wyraźnego wrażenia, że chiał on ukryć się.

— I to byłem ja?

— Nie mogę tego twierdzić stanowczo, gdyż nie pamiętam dokładnie. Jednak... jednak wydaje mi się, że tak.... chyba że byłoby to niezwykłe podobieństwo....

Pan Filleul stał się niespokojnym. Raz już oszukany przez wspólników, czyż miał się dać znowu zwieść przez tego mniemanego ucznia? Słowa jego są napozór prawdziwe, lecz kto wie, trzeba się mieć na ostrożności.

— Co może pan na to odpowiedzieć?

— Że pani myli się i że mogę tego dowieść. Wczoraj o tej porze byłem w Veules.

— Trzeba o tem przekonać się, trzeba koniecznie. W każdym razie sytuacya zmieniła się. Brygadyerze, jeden z pańskich ludzi pozostanie przy tym panu.

Na twarzy Izydora Beautreleta zamalowało się wielkie niezadowolenie.

— Czy długo to będzie trwało?

— Dopóki nie zostaną zebrane odpowiednie informacye.

— Panie sędzio, prosiłbym bardzo o pośpiech i możliwą dyskrecyę....

— Dlaczego?

— Mój ojciec jest stary. Kocha mnie bardzo... nie chciałbym mu sprawić przykrości.

Trochę płaczliwy ton młodego ucznia nie spodobał się panu Filleul. Czuć było w tem trochę melodramatu. Przyrzekł mimo to.

— Dzisiaj wieczorem... a najpóźniej jutro będę już wiedział, co postanowić.

Dzień miał się ku schyłkowi. Sędzia wrócił znowu do ruin klasztoru, zabraniając tam wstępu wszystkim ciekawym i z wielką cierpliwością podzielił starannie cały teren na kwadraty i po kolei kazał je przepatrywać, kierując sam badaniem. Nie posunął się jednak ani na krok naprzód i wieczorem wyrzekł do całej armii reporterów, którzy oblegli zamek:

— Panowie, wszystko nam każe przypuszczać, że ranny jest tutaj, pod ręką, wszystko na to wskazuje, oprócz faktów. Według więc mego zdania, on musiał umknąć i znajdziemy go, lecz nazewnątrz tych murów.

Dla ostrożności jednak zorganizował straż w parku i po nowem zbadaniu obydwóch salonów i przejrzeniu dokładnem całego zamku, wrócił wraz z zastępcą prokuratora do Dieppe.

Nadeszła noc. Ponieważ buduar miał być zamkniętym, przeniesiono zwłoki Jana Davala do innego pokoju. Były przy nim dwie służące razem z Elżbietą i Zuzanną. Na dole, pod czujnem okiem stróża leśnego, spał na ławce w kaplicy młody Izydor Beautrelet. W ruinach pełnili straż zandarmi, fermier i dwunastu mieiscowych wieśniaków. Do godziny jedenastej wszystko było spokojne, lecz w dziesięć minut po jedenastej rozległ się z drugiej strony zamku strzał.

— Baczność! zawołał brygadyer. Dwóch ludzi niech tutaj zostanie, Fossier i Lecanu, inni niech biegną tam.

Wszyscy puścili się naprzód. Z cieni wysunęła się jakaś postać. Zaraz potem drugi strzał pociągnął ich dalej, prawie do granic fermy. I nagle gdy wszyscy przybiegli tu gromadnie, za płotem okrążającym sad, z prawej strony domu mieszkalnego fermiera, wybuchł płomień, rosnący z każdą chwilą. Paliła się stodoła pełna aż pod strzechę siana.

— Zbrodniarze! — zawołał brygadyer Quevil-

lon — to oni podłożyli ogień. Chwytajmy ich. Muszą być blisko.

Wiatr jednak groził przeniesieniem ognia na sąsiednie budowle, należało więc zająć się ratunkiem. Wszyscy rzucili się do umiejscowienia ognia, zwłaszcza że na miejsce wypadku przybiegł sam hrabia de Gesvres i zachęcał ich szczodrą nagrodą. Gdy opanowano płomień, była już druga godzina rano. Wszelki pościg stał się więc daremnym.

— Przekonamy się, gdy się nieco rozjaśni — rzekł brygadyer — musieli pozostawić po sobie jakieś ślady... odszukamy ich.

— Chciałbym wiedzieć — dodał hrabia — co ich pobudziło do podpalania. Nie czynili tego dla samego podkładania ognia pod siano.

— Pan hrabia pozwoli ze mną... może będę mógł podać ich powody.

Podeszli do ruin klasztoru, gdzie brygadyer zawołał:

— Lecanu?... Fossier?...

Inni żandarmi szukali już swych towarzyszy, pozostawionych na straży. Wreszcie znaleziono ich przy małych drzwiach. Leżeli na ziemi skrępowani, z zakneblowanemi ustami i z przepaskami na oczach.

— Panie hrabio — szepnął brygadyer, gdy ich rozwiązywano — znowu zostaliśmy zwiedzeni, jak dzieci.

— W czem?

— Wystrzały... podpalenie... to wszystko oszustwo i podstęp dla pociągnięcia nas tam. W tym czasie związano obu tych ludzi i załatwiono swą sprawę.

— Jaką sprawę?

— Uniesienie rannego.

— Cóż znowu, tak pan sądzi?

— Czy sądzę! Ależ to jest największa prawda. Już przed kilku minutami przyszła mi ta myśl. Głupcem jednak jestem, iż nie pomyślałem o tem wcześniej. Wszystkich schwytalibyśmy.

Quevillon tupnął nogą w przystępie gniewu.

— Lecz którędy, do dyabła, którędy przeszli? Którędy go porwali? Przecież cały dzień stracono na poszukiwaniu i przepatrywaniu każdego zakątka, a nikt, zwłaszcza ranny, nie ukryje się w kępie trawy!

Brygadyer Quevillon nie po raz ostatni dziwił się. Gdy rano wszedł do kaplicy, która służyła za zamknięcie dla młodego Izydora Beautreleta, stwierdził, iż go nigdzie niema. Na krześle spał jego dozorca. Przy nim stała karafka z dwiema szklankami. W jednej z nich widać było na dnie trochę białego proszku. Przekonano się, iż młody uczeń liceum wsypał stróżowi swemu narkotyku, iż uciekł przez okno, znajdujące się na półtrzecia metra od ziemi i wreszcie, iż musiał użyć jako drabiny pleców swego dozorcy, by dostać się do tego okna.

II.

NIEZWYKŁY UCZEŃ RETORYKI.

Wyciąg z *Wielkiego Dziennika:*

„Nocne nowiny. Porwanie doktora Delattre. Szalony pomysł.

W chwili, gdy oddajemy dziennik pod prasę, otrzymaliśmy wiadomość sensacyjną, lecz tak mało prawdopodobną, iż nie możemy ręczyć za jej autentyczność. Podajemy więc ją z wszelkiemi zastrzeżeniami.

Wczoraj wieczorem sławny chirurg, dr. Delattre, był wraz z żoną i córką na przedstawieniu „Hernaniego“ w Komedyi Francuskiej. Na początku trzeciego aktu, czyli koło dziesiątej godziny, otworzyły się drzwi jego loży i ukazał się w nich jakiś jegomość w towarzystwie dwóch innych, poczem nachylił się ku doktorowi i rzekł po cichu, lecz tak, iż słowa jego słyszała żona doktora:

— Panie doktorze, mam do spełnienia przykre zlecenie i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan doktór ułatwił mi jego wykonanie.

— Kto pan jest?

— Thezard, komisarz policyi pierwszej dzielnicy; otrzymałem rozkaz odprowadzenia doktora do pana Dudouis, do prefektury.

— Ale przecież...

— Ani jednego słowa, doktorze, błagam o to, ani jednego ruchu... Zaszła fatalna omyłka i dlatego musimy działać w milczeniu, nie zwracając niczyjej uwagi. Jestem pewny, że przed końcem przedstawienia pan doktór będzie tu już z powrotem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Henryk A. Krupecki, Warszawa.

Połącz pierwsze z początkiem drugiego
A otrzymasz cząstkę ciała człowieczego,
Drugie i czwarte służą do noszenia,
A trzecie i czwarte do chorych wożenia.
Całość część Sudetów dobrze nam gór znanych,
Dla wysokich szczytów chętnie odwiedzanych.

Zagadka literacka.

Ułożyła Stefania Krawczykówna, Kraków.

Wymienić po jednem dziele podanych niżej pisarzy. Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą pseudonim polskiego powieściopisarza.

1 Dante ?
2 Szekspir ?
3 Hołowiński ?
4 Tenyson ?
5 Syrokomla ?
6 Anczyc ?
7 Grabowski ?
8 Pol ?
9 Goethe ?
10 Kochanowski ?
11 Słowacki ?

Zagadka.

Ułożył W. Hostynek Kraków.

Wprost i wspak zawsze Szwab,
W Polsce był, więc go złap:
Prosom dziś liże dłoń,
Dawniej chwat, dziś niepoń.

Łamigłówka.

Ułożył W. Rapacz Żarki.

W miejsce kresek wstawić litery, by powstały wyrazy mające pewne znaczenie. Litery wstawione, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko jednej z sekt anglikańskich.

— ra
— efren
— er
— bikus
— rera
— ara
— au
— noda
— rka
— lion
— ol
— es
— gor
— ron.

Łamigłówka przysłowiowa.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Niżej podane słowa tak uporządkować, aby środkowe litery czytane z góry na dół, dały znane polskie przysłowie

Ranek, ość, Czech, glina, razem, oda, wazon, podły, tragarz, aspan, sokół, śliwa, zamek, zając, jęk, mnich, oko, Jacek, pozew, los, Jan, pługi, lew, gil, miska, dudek, tracz, muł, kruki, miech, sługi, młodzik.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył A. B. Rzeszów.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie.

Cera, byt, udał, paw, syp, mieli.

Logogryf.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby dały szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko sławnego matematyka i astronoma angielskiego.

□
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
□
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Wódz żydowski. 3. Posiadłość holenderska w Azyi. 4. Wrogowie Zeusa. 5. Ptak z rodziny brodźców. 6. Spółgłoska. 7. Krwawe nazwisko z czasów galicyjskiej rabacyi, 8 Choroba gardła u dzieci. 9. Bohater jednego z utworów Göthego. 10. Uwięziony niedawno fabrykant sztucznych dyamentów. 11. Tytuł powieści Kosiakiewicza.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazimierza Glińskiego:* **„Zaloty króla jegomości“.** Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.